MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 5 (44) WARSZAWA, 31 PAŹDZIERNIKA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

OGIEŃ OFIARNY

ZADUSZKI polskie w tym roku zatrzymały się ze szczególnem skupieniem na grobie żołnierza. Cokolwiekby się powiedziało o formie symbolizowania tego grobu przez ekshumację ciała przy pomocy losowania, to jednak sam fakt psychiczny, że społeczeństwo zdolne jest wzruszać się ideą ofiary, ma znaczenie dodatnie dla kultury ducha narodowego.

Nie należy zbytniej wagi przywiązywać do form obrządku samego, do tego, że pacyfiści tam lub ówdzie usiłowali uczynić z grobu „nieznanego żołnierza" pieczęć wiecznego pokoju, protestację przeciwko ideom ofiary na rzecz narodu; prawo życia jest powszechniejsze i nadaje znakom śmierci taki sens, jaki potrzebny jest życiu, aby trwało. Prawo życia i śmierci jest jedno i wieczne.

Kombinatorzy regulaminów uniwersalnych będą zawsze bezsilni wobec tajemnic odradzania się życia przez grób. Tajemnicę tę zna dusza narodowa. Ona śmierci się nie boi i z grobu nie uczyni hasła odwrotu. Odwrotem bowiem sromotnym od życia jest czynienie postrachu z ofiary. Ona była, jest i będzie systemem przedłużenia życia i jego potęgowania. Najdobitniejszym wyrazem tej prawdy jest żołnierz, padający w polu. Arka tryumfalna każdej cywilizacji ma w fundamentach grób żołnierza.

Żołnierz jest wykładnikiem ducha obywatelskiego. Każdy obywatel winien się czuć żołnierzem, bo walka jest tylko postacią pracy, a ta znowu, jako oddawanie siebie, jest postacią ofiary. Życie w cywilizacji syci się stale ofiarą jednostki. I to jest prawo żelazne. Naród, który sobie odbudowuje aparat cywilizacji, musi stale to prawo sobie uświadamiać. Grób żołnierza, wzniesiony ponad inne w dniu Zaduszek, daje po temu dobrą sposobność.

Do rysów charakterystycznych naszego czasu, u nas i w innych krajach, należy walka życia z doktrynami, a jeżeli skąd zalatuje śmiercią, to od doktryn. Tłumaczy się to zjawisko przerostem klas pół oświeconych, snujących myśl z doktryn, nie z mądrości doświadczeń, a dość wpływowych, aby móc wstrząsać życiem przy pomocy organizacyj, które doktrynę usiłują wcielać. Doktryna tak zaślepia, że kombinatorzy nie widzą bezsensu w swojem postępowaniu. Nie jest np. tajemnicą, że w wojsku nawet istnieje podział na obozy nacjonalistów i liberałów (różnych odmian), sprzecznie pojmujące stosunek jednostki do narodu. Pytanie: czem innem może być żołnierz, gotów złożyć życie na polu walki, jeśli nie nacjonalistą? Minister w rządzie parlamentarnym może się wykręcać nawet od patrjotyzmu argumentem, że czerpie program swój z partji. Ale co ma do powiedzenia oficer, jak nie to, co mu podpowie każda mogiła żołnierska, otoczona czcią narodu: jedna jest tylko kombinacja — jednostka umiera, aby mógł żyć naród, aby przez naród mogła żyć jednostka i coraz skuteczniej walczyć o prawo życia i rozwoju.

Każdy człowiek z natury rzeczy musi być nacjonalistą, a żołnierz nacjonalistą zawodowym. Żołnierz oświecony, nie zdający sobie z tego sprawy, balansujący między nacjonalizmem a kosmopolityzmem, stanowi jedno z tych paradoksalnych nieporozumień, do których — niestety—zbyt łatwo się przyzwyczajamy.

Hołd, składany symbolowi żołnierza, jest aktem uznania bohaterstwa w służbie obywatelskiej za czcigodną wartość społeczną i zobowiązania, że tę samę miarę stosować będziemy do wartości każdego obywatela. Chwila dziejowa, którą przeżywamy, wyjątkowo bodaj sprzyja rozumieniu tej myśli, którą doskonale rozumieliśmy w czasie wojny w odniesieniu do żołnierza. Probierzem wartości jednostek, a zwłaszcza stronnictw będzie to, jak zachowają się wobec ciężkiego położenia materjalnego Polski.

Hasła liberalne, tchnące pogardą dla idei ofiary, bardzo źle brzmią w obecnej atmosferze. Opinja publiczna zaczęła już rozumieć, że sprawa niezawisłości nie jest ostatecznie załatwiona przez samo wskrzeszenie państwa. Trzeba państwu dać oparcie w mocnej gospodarce narodowej, nic bowiem łatwiejszego, jak utracić niezawisłość faktyczną przy posiadaniu prawnej. Gdyby nie było wrodzonego nacjonalizmu w instynktach i zorganizowanej przez rozumne stronnictwa dyscypliny w opinji publicznej, to obywatele, idąc za prymitywnem hasłem liberalnem pomyślności jednostek i klas, bardzo łatwo zrzekliby się oderwanego ideału niepodległości za cenę dobrobytu poszczególnego. Prof. Rybarski w znakomitym wykładzie na zjeździe stronnictwa demokratyczno-narodowego w d. 18 b. m. powiedział, że gdyby tylko o dobrobyt jednostek chodziło, to łatwo wyprzedać można Polskę za dobre pieniądze czy to w drodze pożyczek, czy ustępstw handlowych na rzecz sąsiadów. Ale wtedy *finis Poloniae* niczem po przegranej bitwie. Obywatel, kupiec, rolnik, przemysłowiec czy spożywca wystawiony jest na pokusę zdrady, jak żołnierz na froncie. A więc i tu można być zdrajcą lub bohaterem. Gdy tę kampanję, którą teraz toczymy o byt Polski, wygramy, można będzie pomyśleć o hołdzie dla „nieznanego obywatela“. Uczcimy go z tem samem uczuciem, które nam pierś rozpiera u grobu nieznanego żołnierza.

Walka na polu gospodarczem pociągnąć musi wiele ofiar, złożyć je muszą przedewszystkiem te sfery, które stać na to moralnie. A tem trudniejsza to kampanja, że nie rygor wojskowy podtrzymuje szeregi, jeno rygor moralny, a w szeregach jest wielu obywateli tego rygoru nie uznających i wrażliwych na punkcie dobrobytu. A najtrudniejsza sprawa jest z tem, że w tej walce o byt nie chwilowe bohaterstwo decyduje, lecz wytrwałość, że cały wysiłek, zwany pięknie walką, ściąga się do pojęcia p r a c y. Zdajemy egzamin, czyśmy naród nowożytny, czy tylko konsumenci. Praca jest środkiem i cnotą. Z niej się rodzi i cnota oszczędności. W atmosferze bierności próżniaczej nic nie zdziała ciułanie; ten dopiero, kto wszedł na drogę zdobywania wszystkiego pracą, stwarza możliwości psychiczne oszczędzania. W oszczędzaniu tkwi pierwiastek rozumienia ceny rzeczy stwarzanych, s z a c u n k u dla własnej pracy, która jest ofiarą. Wszelka twórczość jest służbą ofiarną, oddawaniem siebie na rzecz wartości i użyteczności po za sobą. Cała cywilizacja zawdzięcza istnienie i rozwój tej „ofierze“ z siebie. Tak rozumiany pierwiastek ofiary jest społecznie pozytywną funkcją życia, nieodzownym warunkiem twórczości cywilizacyjnej.

W miarę rozwiązywania tego zagadnienia przez świadomość dziejową rośnie patrjotyzm. Świętość ziemi, która jest grobem wszystkich żywotów, pomnaża się świętością ofiary jej obrońców, świętością dorobku, świętością pracy, świętością twórczości. Każdy poziom życia znaczony jest płomieniem nieznanej z imienia, zbiorowej ofiary, która z siebie coś dała na rzecz całości. Nie są to jednak groby, to znak życia, które z ofiarnych dusz czerpie siłę.

Z. WASILEWSKI

ZAGADNIENIE ARYJSKIE

Od kilku dziesiątków lat w nauce i publicystyce, nawet w literaturze pięknej mówimy o Arjach czy Aryjczykach, o aryjskości. Skąd się ten wyraz, nie używany przedtem, wziął i co się pod nim kryje?...

Spotykamy go już u niektórych pisarzy greckich z Herodotem na czele. Mówią oni, że Medowie zwali się dawniej Arjami, a Persja — Arją, u jednego zaś znajduje się nawet wyrażenie: „Magowie i cały szczep aryjski“. Byli oni w tem zgodni z prawdą, jak świadczy odcyfrowany w zeszłem stuleciu napis na grobowcu Darjusza, w którym nazywa on siebie „Arją aryjskiego pochodzenia“.

Po zapoznaniu się nauki europejskiej z sanskrytem, znaleziono i w nim ten wyraz. Oznacza on tu szlachcica, człowieka szlachetnego. Jest to wszakże znaczenie pochodne, w Rig-Vedzie bowiem, z której języka klasyczny sanskryt pochodzi, Arjami nazywają się najeźdźcy, którzy wtargnęli do Indyj z północnego zachodu (z Iranu — Iran znaczy „kraj Arjów“) i ujarzmili krajowców: zepchnąwszy ich do niższej kasty, ze swej nazwy szczepowej zrobili nazwę ludzi kast wyższych.

Od r. 1767, w którym francuski jezuita C o e u r d o u x, w komunikacie swoim do paryskiej *Académie des Inscriptions* wskazał na pokrewieństwo sanskrytu z językami europejskiemi, cały szereg badaczów zwrócił się w tym kierunku. Stopniowo powstała gałąź badań, zwana językoznawstwem porównawczem. Ustalono po nad wszelką wątpliwość fakt wspólnego pochodzenia sanskrytu, języka perskiego, osetyńskiego (na Kaukazie), armeńskiego, oraz języków europejskich: greckiego, albańskiego, łacińskich, celtyckich, germańskich, słowiańskich i bałtyckich (litewskich) wreszcie szeregu języków umarłych. Tę wielką rodzinę języków nazwano indo-europejską, albo aryjską. Uczeni niemieccy nazywają je przeważnie indo-germańskiemi, nazwę aryjskich zachowując wyłącznie dla gałęzi persko-sanskryckiej.

Stwierdzenie wspólnego pochodzenia języków aryjskich jest stwierdzeniem, że mają one wspólnego przodka, że istniał niegdyś jeden język, praaryjski, z którego wszystkie pochodzą. Jeżeli zaś istniał jeden jezyk, to istniał jeden lud, czy szczep, który tym językiem mówił, szczep Arjów, czy Praarjów, zależnie od tego, jak go zechcemy nazwać. Tylko z tego faktu nie wynika już, żeby wszystkie narody aryjskie, t. j. mówiące językami aryjskiemi, były potomkami tego ludu. Widzimy dziś Hiszpanów, Portugalczyków, Francuzów, mówiących językami łacińskiemi, nazywamy je też narodami łacińskiemi lub romańskiemi, jakkolwiek wiemy, że nie pochodzą od Rzymian, że ilość krwi rzymskiej, która w nie wsiąkła, była bardzo mała. Sąsiadujemy z Niemcami w Prusiech i Saksonji, którzy mówią po niemiecku, ale wiemy, że pochodzenie ich jest przeważnie słowiańskie lub litewsko-pruskie.

Badania porównawcze nad językami aryjskiemi zwróciły się przedewszystkiem do ustalenia stopnia pokrewieństwa pomiędzy poszczególnemi językami, do rozklasyfikowania ich według tego stopnia pokrewieństwa, do wykrycia, które formy językowe są późniejsze, a które starsze, a stąd do stwierdzenia, które języki mają nowszą, a które bardziej archaiczną budowę, wreszcie do prób odtworzenia pierwiastków prajęzyka, owego przodka wszystkich języków aryjskich. Dziewiętnaste stulecie wydaje liczny szereg pracowników na tem polu, wśród których najwybitniejsi: Adelung, Bopp, Benfey, Schleicher, Brugmann, Ascoli, F. de Sausoure, wreszcie w ostatnich czasach Meillet. U nas wybitne stanowisko w tych badaniach zajęli prof. Rozwadowski w Krakowie i prof. uniw. warszawskiego, Porzeziński. Dzięki zwłaszcza nowszym badaniom nad fonetyką językoznawstwo porównawcze stało się bodaj najściślejszą z nauk o przeszłości człowieka.

Z czasem zjawiły się próby badań nad językami aryjskiemi nie już w celach lingwistycznych, ale w celu wyciągnięcia z języka, z jego słownika wniosków o bycie owych Praarjów, o ich ustroju rodzinnym, społecznym i gospodarczym, o ich obyczajach, wierzeniach i t. d. Powstała „paleontologja lingwistyczna", której początek dał Pictet[1]), a obok niego Max Müller[2]).

Wejście na tę drogę dociekań odegrało ogromną rolę w życiu umysłowem narodów europejskich, w rozwoju ich duchowej samowiedzy. Otrzymane na razie ich wyniki przeważnie nie wytrzymały późniejszej krytyki naukowej: wnioski były dość dowolne, niedość uzasadnione. Obudziły one wszakże entuzjazm wśród szerszych kół wykształconej publiczności. W ich świetle Arjowie okazali się jakimś nadzwyczajnym, o wiele pięter górującym nad wszystkiemi innemi ludem, z wyjątkowemi zdolnościami i z wyjątkowemi cnotami. Entuzjazm tedy był zrozumiały: to tak przyjemnie widzieć w lustrze najwyższy typ człowieka. Bo cóż przeszkadzało komukolwiek w Europie widzieć w sobie najbardziej prawego potomka Arjów?...

Nieuniknionym wynikiem takich pojęć o Arjach musiało być powstanie procesu o to, który naród z najczystszych Arjów się składa. I można było być pewnym, że po palmę pierwszeństwa sięgną Niemcy, którzy swoje ambicje już zaznaczyli, nazywając Arjów Indo-Germanami. Jednakże skąd tu wziąć dowody?...

Aż do drugiej połowy zeszłego stulecia wszyscy, którzy się zajmowali badaniem języków indo-europejskich, wyprowadzali Arjów z Azji Środkowej, z tych lub innych jej okolic, niezawodnie pod wpływem tego, że widzieli w sanskrycie i w staro-perskim najstarsze języki aryjskie. Jeżeli tedy Aryjczycy w Europie byli przybyszami z Azji, to jakże tu dowieść, że ten lub inny z pośród nich naród czystszą posiada krew aryjską?...

Gdyby się udało przenieść pierwotną siedzibę Arjów do Europy i wykazać, że ten a nie inny kraj europejski był ową siedzibą, to, naturalnie, wniosek stąd byłby prosty, że mieszkańcy tego właśnie kraju są najczystszymi Arjami.

Trzeba przyznać Niemcom, że nie wpadli odrazu na pomysł umieszczenia siedziby Praarjów w swoim kraju. Pomysł przyszedł skądinąd.

[1]) Adolphe Pictet. *Les Origines indo-européennes ou les Aryas primitifs, Essai de paléontologie linguistique.* 1859—63.

[2]) Ojciec dzisiejszego ministra angielskiego w Warszawie. *Red.*

Jednocześnie z ukazaniem się książki Picteta lingwista angielski, Latham, biorąc asumpt z tego, że język litewski ma najbardziej archaiczną budowę ze wszystkich indo-europejskich, rzucił myśl, że pierwotna siedziba Arjów mogła się znajdować w Europie, i to w północnej, nad Bałtykiem. Tego tylko było trzeba uczonym niemieckim.

Gdy się zjawił pomysł, zabrali się natychmiast do szczegółowego wypracowania dowodów na to, że Praarjowie utożsamiają się z Germanami. Antropologowie, jak Pösche (1878), Peszka (1883), Wilser (1899), dowodzą, że Arjowie byli blondynami, długogłowymi, wysokiego wzrostu, to znaczy, że przedstawiają ten typ, który czasy historyczne zastały głównie w Skandynawji i północnych Niemczech, a który dzisiejsza antropologja oznacza jako rasę północną (*Nordic*) lub teutońską. Prehistorycy, jak Much (1890 i 1901), Kossinna (1895 i później), wywodzą na podstawie wykopalisk, że Arjowie nie przyszli do Europy ze Wschodu i starają się wykazać, że ich pierwotna siedziba znajdowała się bądź w Niemczech, bądź w ich pobliżu. Wreszcie ligwista Hirth wydaje dwa grube tomy[1]) z mapami, w których ustala pierwotną siedzibu Arjów nad Odrą i Wisłą, (naturalnie, niemieccy uczeni są zdania, że jest to kraj niemiecki, do którego Słowianie wtargnęli bardzo późno), drogi, któremi się rozchodzili w różne strony, wędrując aż do Indyj, wreszcie daje obraz ich prakultury, łącząc dowolnie dane jezykoznawstwa indoeuropejskiego z danemi przedhistorycznemi, dotyczącemi Europy Północnej.

Zostało tedy dowiedzione na podstawie danych lingwistyki porównawczej, antropologji i prehistorji, że Arjowie wyszli z Europy i że najczystszymi Arjami są Niemcy.

A że jednocześnie szereg antropologów zapewnił świat, że najwyższą rasą ludzką jest rasa północna czyli teutońska, t. j. typ jasnowłosy, niebieskooki, długogłowy, przy wysokim wzroście, typ wprawdzie nie przeważający w całych Niemczech, tylko w Niemczech północnych, Skandynawji i w anglo-saskiej części Wielkiej Brytanji— Niemcy uznali się za najwyższe piętro ludzkości, do jakiego jej rozwój doprowadził.

Miało to olbrzymie następstwa, sięgające daleko po za sferę nauki. Odbicie tych teoryj znalazło się w literaturze, w sztuce, w filozofji, wreszcie w polityce. Stąd się narodziła *„blonde Bestie"* i *„Übermensch"* Nietschego, stąd poszły *„minderwertige Nationen"* Mommsena, na tych teorjach zniemczony Anglik Houston Chamberlain oparł swoje „Podstawy dziewiętnastego stulecia", które dla wielu Niemców stały się ewangelją. One wzmocniły wyrosłą z historji wieków średnich ideę *Herrevolk'u* i przyczyniły do obudzenia w Niemczech wiary, że są stworzeni do panowania nad światem, co ich doprowadziło do wielkiej wojny 1914 r.

Hypotezę o pochodzeniu Arjów z północnej Europy uzasadniano z taką pewnością siebie i poparto tak szczegółowemi dowodami, że zasuggestjonowano nią cały szereg poważnych ludzi w innych krajach. Do ostatnich lat była ona prawie panująca, jakkolwiek nie brak było teoryj odmiennych, za któremi stali poważni badacze. Należy tu wymienić de Michelisa, który w swem dziele *„L'Origine degli Indo-Europei"* (1903) utożsamia Arjów z krótkogłowymi mieszkańcami środkowej Europy, i Ser-

[1]) Herman Hirth. *Die Indogermanen, ihre Verbreitung. ihre Urheimat und ihre kultur.* Strasburg 1905—7.

gi'ego, który w „*Gli Arii in Europa e in Asia*“ (1903) przedstawia ich jako mieszaninę długogłowych i krótkogłowych.

Faktem jest, że dzisiejszy stan czy to językoznawstwa porównawczego, czy antropologji, czy prehistorji nie daje podstawy do wniosków o pierwotnej siedzibie Arjów, ani o ich rasowym typie. Niewiadomo też, czy ścisłe, naukowe rozstrzygnięcie tego zagadnienia będzie kiedykolwiek możliwe.

Niemniej przeto, dzięki odkryciom ostatnich czasów wiedza nasza o dawniejszych ludach aryjskich bardzo się zbogaciła. I to, czegośmy się dowiedzieli, a o czem później pomówimy, uczy nas bodaj, że cała praca antropologów, prehistoryków i lingwistów niemieckich, mająca pośrednio dowieść, że Niemcy są najczystszymi Arjami, była pracą zmarnowaną. Niepotrzebnie tyle czasu zużyto i tyle papieru zadrukowano. Tak zawsze bywa, gdy nauka zbacza z drogi poszukiwania czystej prawdy.

Coraz więcej danych przemawia przeciw pochodzeniu Arjów z Europy, zwłaszcza z północnej, jak i przeciw poetycznemu pojęciu o nich, które wytworzyła paleontologja lingwistyczna. Wyświetlenie kwestji Arjów posuwa się powoli naprzód, jak o tem będziemy mieli sposobność się przekonać. Dzieje się to dzięki zdobyczom badań sumiennych, nie wyprzedzanych zbytnio przez hypotezy, dzięki ostrożnemu wnioskowaniu z faktów, bez naciągania wniosków do tych czy innych celów ubocznych.

POMORSKI

ALCHEMJA SZTUKI

(O ZWIĄZKU TREŚCI Z FORMĄ)

USTALONE w poprzednich dwóch szkicach określenia treści i formy w sztuce wprowadzają nas w sam gąszcz zagadnień artystycznych, dając zarazem rękojmię, że w lesie tym nie zbłądzimy. Treścią sztuki jest zespół wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń, które artysta w dziele sztuki wyraża. Jej formą — zespół fizycznych środków artystycznych, któremi artysta ową treść wyraża. Teraz bez obawy o mglistość możemy zająć się najbliższem z kolei zagadnieniem wzajemnego stosunku treści i formy w sztuce.

Już z natury obu określeń wynika nierozerwalny związek pomiędzy treścią a formą w sztuce. Najmniejsza zmiana w treści musi wywołać odpowiednią zmianę w formie i odwrotnie. Nierozerwalność ta, zresztą, leży w samej logice obu pojęć — treści i formy, bez względu na dziedzinę ich zastosowań. Tu jednak — w sztuce, objawia się ona w sposób tak cudowny, że zawsze gotowiśmy sztukę za alchemję uznawać, która z ołowiu złoto dobywa. I słusznie. Co niech nam nie przeszkodzi przyjrzeć się pracy alchemika przynajmniej od strony przedmiotowej.

Za wzór wszelkich w tym zakresie rozważań weźmy przykład najprostszy. Oto — dzban artystyczny. Ma on swoją duszę indywidualną, swoją treść, która go od wszystkich innych dzbanów odróżnia. Pragnąc treść dzbana opisać słowami, powiem (naprzykład), że ma on w wyrazie figlarność, zalotność, wytworność i naiwność w pewnem ilościowem połączeniu tych cech, którego żaden inny dzban nie posiada. Poddajmy dzban torturom doświadczenia w nadziei, że tak czy owak wyśpiewa nam tajemnicę związku pomiędzy treścią a formą. Ażeby ułatwić sobie robotę, sporządźmy z jednego punktu widzenia tyle barwionych rysunków tego dzbana, ile nam będzie potrzeba, a w każdym dokonajmy niewielkiej, coraz to innej zmiany formalnej, nie kierując się przytem żadną celową zmianą wyrazu.

W pierwszym rysunku odjęliśmy dzbanowi dziobek, pozostawiając tylko równy dokoła kraj otworu. Od jednego rzutu oka przekonamy się, że na tym rysunku dzban stracił swoją figlarność. W drugim rysunku zmieniliśmy kształt ucha z wykręconego w górę na równo w dół opuszczone. Na tym rysunku dzban stracił swoją zalotność, a nabrał skromności. W trzecim rysunku zmianie uległo wcięcie w pasie dzbana na linje równe: dzban stracił tu wytworność i nabrał siły. W czwartym rysunku odjęliśmy dzbanowi jego lekką barwę różową a daliśmy tęgą niebieską: tu dzban stracił naiwność a przybrał wyraz powagi. I tak dalej.

Kto zechce zadać sobie trud, naocznie się przekona, że igrając naoślep z płaszczyzną, linją i barwą, igra z duszą artysty, która się w dziele wyraziła. Milimetrowa zmiana, w wierzchołku kąta dokonana, daje w przestrzeniach śródgwiezdnych różnice na miljony mil wielkie. To samo w sztuce. Równie daleko i równie blisko, w tej samej wzajem od siebie zawrotnej zależności pozostają duch i materja, treść i forma w sztuce.

Wszelka treść naszego dzbana — istniejąca i możliwa— wyraża się w kategorjach wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń. Figlarność, zalotność, skromność, wytworność, siła, naiwność, powaga i sto innych możliwych do osiągnięcia w dzbanie cech jego wyrazu, czyli treści — wszystko to są cechy wyobraźni i uczuciowości ludzkiej, często tak bogate i splątane, że żaden opis o wyczerpanie ich pokusić się nie może. A jednak w doświadczeniu naszem osiągaliśmy je naoślep jednem poruszeniem ołówka, lub pędzla. A gdy od tego najprostszego dzieła sztuki przejdziemy do bardziej i najbardziej złożonych dzieł poezji, malarstwa, muzyki i t. d., bezwzględna zależność wzajemna i nierozerwalność treści i formy w sztuce ukaże się oczom naszym jako prawo, nie podlegające najmniejszym wyjątkom.

W doświadczeniach naszych postępowaliśmy od strony formy do treści. Dla każdego jest rzeczą jasną, że ta sama zależność formy i treści istnieje w twórczości artysty, gdy ten nie odwrotną drogą pustego doświadczenia idzie, lecz naturalną drogą tworzenia, t. j. od treści do formy. Alchemja, którą w prostej odkryliśmy zabawie, w rękach artysty staje się siłą niemal mistyczną, o nieznanych źródłach i tajemniczym przebiegu, siłą, którą znamy jedynie w ostatecznych jej wynikach. Ale jedno w niej logicznie i doświadczalnie jest pewne i niewzruszone: nierozerwalny związek treści i formy.

Mamy przeto pierwszą zdobycz realną, którą zawdzięczamy naukowemu określeniu pojęć treści i formy w sztuce. Jeżeli ją mimochodem zastosujemy praktycznie do modnych dziś haseł czystej formy w sztuce i prądu, zwanego formizmem, okaże się jasno, w jakich pustyniach czczości i nieprawdy obracają się nieszczęśni zwolennicy ostatnich krzyków mody.

Niema formy bez treści. Nawet naoślep dobyta, nawet warjacka forma „czysta“ posiada swoją treść, choć przypadkową. To też w obłędnem poszukiwaniu formy

czystej zwolennicy jej musieli dojść, i doszli istotnie do kół, trójkątów i rur talmudycznej geometrji, czyli odeszli od sztuki tak właśnie daleko, jak daleko leży od niej Talmud i geometrja. Źródłem tego obłędu jest przeoczenie ducha w materjr.

Droga, którą w doświadczeniach i wnioskach przebiegaliśmy tam i z powrotem, stanowi koło zamknięte, a da się wyznaczyć w następujących pięciu ogniwach: 1. Treść dzieła, tkwiąca w duszy artysty. 2. Artysta, który opracowuje tę treść i uzewnętrznia. 3. Dzieło sztuki w jego formie przedmiotowej (fizycznej). 4. Odbiorca, który wchłania treść, odczytując ją z formy. 5. Treść dzieła, przeniesiona do duszy odbiorcy.

Ogniwem, które zamyka koło, jest treść, przenosząca się z duszy artysty do duszy odbiorcy. W tem ogniwie tkwi społeczny sens sztuki, zawiera ono bowiem pierwiastek porozumienia i wpływu. Ogniwo środkowe—dzieło sztuki jest jedyne w szeregu nieruchome i przedmiotowe. Wszystko dokoła niego krąży, wiruje, zmienia się, ono jedno pozostaje niezmienne. Artysta wraz ze swoją treścią i duchem już za życia odchodzi od stworzonego dzieła sztuki, a potem umiera i ginie na wieki. Odbiorca wraz z treścią swoją, duchem i treścią, którą zdołał wchłonąć z dzieła sztuki, zmienia się sam, przychodzi, odchodzi, jest ich setki, tysiące, miljony. I po tamtej i po tej stronie dzieła sztuki wre życie różnorodne, zmienne, podmiotowe, w małej zaledwie cząstce znane i poznać się dające. Tylko dzieło sztuki w kołowrocie tym stanowi trzpień zawsze jeden, przedmiotowy, niezmienny i, jakoby, wieczny.

Każde z wymienionych w kole ogniw może stać się punktem wyjścia do rozważań, które rozejdą się promienisto i prowadzą daleko, obejmując ogromny obszar filozofji sztuki, psychologji twórcy i odbiorcy, społecznej wartości sztuki, jej źródlisk narodowych i t. p. zagadnień, z których każde bez wyjątku najpewniejsze dla siebie znajdzie oparcie w podanych tu ścisłych określeniach treści i formy. W tej chwili jednak obchodzi nas tylko związek pomiędzy treścią a formą, a że stałą jego siedzibą w świecie fizycznym jest dzieło sztuki, więc należy przypuszczać, że w nim lub w jego pobliżu najprędzej czegoś pewnego o alchemji sztuki się dowiemy. Gadatliwość dzbana poddanego torturom daje niejakie w tym kierunku rękojmie.

Skoro w zabawie i odniechcenia możemy każdą przypadkową zmianą formy wywoływać tak nowe, dalekie i bogate zmiany treści i skoro sztuka wogóle rozporządza tylko dziewięcioma fizycznemi środkami artystycznemi, to wniosek stąd powstaje nieodparty, że w tych właśnie dziewięciu środkach fizycznych muszą tkwić przynajmniej pierwiastki treści duchowej, a to tak samo, jak w słowach mowy ludzkiej tkwią pojęcia rzeczowe. Bliższe wejrzenie w charakter środków artystycznych wszystkich sztuk potwierdza ten wniosek logiczny w całej rozciągłości doświadczeń.

Każda bez wyjątku linja, barwa, płaszczyzna, bryła, każdy dźwięk, ruch i gest, każde słowo i działanie — skądkolwiek wzięte, gdziekolwiek znalezione i bodaj z osobna, samo w sobie rozpatrywane, posiada swoje znaczenie, swoją mowę, a mowa ta zawsze obraca się w dziedzinie wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń ludzkich. Potoczne, bezwiednie przez ogół ludzki używane określenia najdobitniej o tem świadczą. Mówimy, że dana barwa jest posępna, a tamta wesoła, ta pogodna. a tamta skromna, ta pyszna, a ta silna, lub słaba, głęboka, lub płytka, gorąca, lub zimna, krzycząca lub cicha. Mówimy, że ten dźwięk jest poważny, a tamten bolesny, a ów znowu oschły, lub ponury, zamknięty, lub otwarty, okrągły lub kanciasty — i tak dalej bez ograniczenia. Z tą samą swobodą intuicji określamy linje, płaszczyzny, bryły, działania, słowa, ruchy i gesty. (W słowach, mianowicie, a także w ich pojęciach również odnajdziemy najrozmaitsze znaczenia pozapojęciowe i czysto zmysłowe).

Otóż każdy sam po własnych doświadczeniach z łatwością dojdzie do wniosku, że wszystkie bez wyjątku fizyczne środki artystyczne już w swoim stanie surowym przemawiają bezpośrednio do wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń człowieka, a przemawiają mową bogatszą i subtelniejszą od pojęć języka słownego. Jak poeta ma do rozporządzenia swego słownik językowy, zawierający około stu kilkudziesięciu tysięcy słów w surowym stanie mowy istniejących, tak malarz ma pewną ilość barw i linij, rzeźbiarz — płaszczyzn, budowniczy — brył, muzyk—dźwięków (i t. d.), a każdy z tych środków już *in crudo* posiada jakieś odrębne swoje wrażenia, wzruszenia lub wyobrażenia, jakoby w nim tkwiące, a właściwie przez duszę ludzką a przedtem zwierzęcą prawem projekcji narzucone.

Tym sposobem nietylko poeta, lecz każdy z pozostałych ośmiu sztuk artysta, przychodząc na świat, zastaje dokoła siebie już gotowy słownik środków artystycznych, słownik bardzo bogaty, od wielu tysiącleci przez świat istot organicznych wznoszony, ustalany i zmieniany, a przez ludzi do dzisiejszego stanu doprowadzony i wciąż dalej budowany. Więc słownik barw, słownik linij, brył, dźwięków, gestów, ruchów i t. d. Artysta pełnemi garściami czerpać może z każdego z tych słowników, a łącząc pojedyńcze wyrazy w grupy, te zaś w jeszcze większe skupienia, otrzymuje dla wyrażenia swej duszy możliwości wręcz nieskończone. Gdyby słowników tych nie było i gdybyśmy ich nie znali, porozumienie się artysty z odbiorcą nigdyby nastąpić nie mogło.

Tak oto, od strony faktycznej i fizycznej widziana, prosto się rozwiązuje cudowna alchemja sztuki. Teraz już bez zdziwienia spojrzymy na klawiaturę fortepianu, że w tych tu osiemdziesięciu ośmiu milczących klawiszach drzemią wszystkie potężne wizje Bachów, Beethovenów, Szopenów... Ale i to zauważmy, że jedynie dla chwilowej w danym zakresie jasności odsunęliśmy tylko cud nieco dalej, mianowicie do psychologji, filozofji i aż do stromych rubieży metafizyki. Cud cudem pozostał... Poznaliśmy tylko czerpaki i kadzie-słowniki artystycznej alchemji.

Jasną jest rzeczą, że treść sztuki zdawiendawna tkwi w stanie rozproszonym w tysiącznych poszczególnych cząstkach formy, to jest — w odosobnionych dźwiękach, barwach, linjach, bryłach. gestach, ruchach i innych zjawiskach, które człowiek jako swych środków artystycznych używa. Z tego wypływa wniosek, że nierozerwalność treści i formy w sztuce jest prawem naturalnem, tak wielkiem i niezłomnem, jak podstawowe prawa fizyki i mechaniki.

Treść przeto w sztuce możemy nazwać formą widzianą od wewnątrz, a formę—treścią widzianą od zewnątrz. Tylko przez grzeczność niejako mówimy o formie artysty, dając tem światowy pozór, że jesteśmy taktowni i nie wnikamy w treści jego tajemnicę. Filozof jednak nie może łudzić się pozorem. Treść i forma — to Wielka Jedność artystyczna. I tylko oszukańczy w złośliwości swej, pusty w czczej djalektyce i z gruntu pozbawiony wyobraźni duch żydowski może dla plugawych swych celów ważyć się na rozdzieranie Boskiej Dwujedności.

ST. PIEŃKOWSKI

DO BOGA

DŁUGĄ masz rękę Boże, co strącasz wyniosłe i dumne:
Zwól mi, niech żyję w pokorze, nim się obalę w trumnę.

*

Chroń mnie przed morem ducha, przed głodem dostatków ziemi,
chroń mnie przed wojną z sumieniem, przed wojną z czyny mojemi.

*

Spraw, bym był prosty i czysty, jako źdźbło trawy lub ziela,
niechaj, jak one w słońcu—w Tobie się człek uwesela.

*

Bez słońca Twojej Łaski, wszak widzisz, żyć nie mogę:
Nie daj mi butów ni laski, ani dwu sukien na drogę.

*

Niechaj samotny i cichy idę dopóki sądzono:
Zabiorę z sobą kęs chlęba, zabiorę winne grono.

*

Ktokolwiek zedrze mi suknię i ciało moje obnaży
temu płaszcz oddam w dodatku i jeszcze uśmiech twarzy.

*

Ktokolwiek ugodzi kamieniem kolczastym, wydartym ze żleba,
na tego cisnąć chcę, Panie, kruszyną Twojego chleba.

Obaczym kto kogo zmoże, komu zwycięstwo się ziści,
czy śpiew Miłości zwycięży, czy dziki chrzęst nienawiści.

*

A kiedy przyjdzie Godzina, gdy kres nadejdzie podróży,
niech jak Stróż Anioł nademną stanie krzak polnej róży.

*

Iżem był prosty i czysty, jako źdźbło trawy lub ziela,
niechaj się w słońcu Twej Łaski wonczas mój duch uwesela.

*

Zaś wtedy nawiedź mnie cichy i korny, jak krzyż na rozstaju,
bez ogni, jak we krzu Mojżesza, bez gromów, jak na Synaju.

*

Niechaj barwami dzieciństwa sny me na nowo zapłoną...
Przyjdź do mnie, jako Kęs Chleba i jako Winne Grono.

*

Przylgnij do mego wnętrza, napełń mnie światłem i Sobą,
niechaj po wszystkie wieki nastanie kres z żałobą.

*

Długą masz rękę, Boże, co strącasz wyniosłe i dumne:
Zwól mi, niech żyję w pokorze, nim się obalę w trumnę.

GABRJEL TADEUSZ HENNER

IN-GWA

„In-gwa" (Przeznaczenie) jest autentyczną prastarą legendą japońską, opowiadaną po dziś dzień przez piastunki dziatwie Nipponu. Miss Grace JAMES, angielka wychowana w dzieciństwie na wyspach Wschodzącego słońca, spisała ją wraz z innemi opowieściami w pięknej angielszczyźnie. W dniu święta zmarłych dajemy tę poetycką opowieść w spolszczeniu:

MŁODY Ito-Tatewaki powracał z miasta Kioto w rodzinne strony. Wędrował sam i pieszo. Idąc, wzrok utkwiony miał w ziemię, a głowę pełną jeszcze trosk o interesy, które go do tej podróży zmusiły. Zmierzch zapadł. Droga wiodła poprzez kamieniste pustkowie. Między złomami skał rosły kwiaty. Barwne ich kielichy pokrywały okoliczne wzgórza i kaskadą spływały wzdłuż stoków. Wśród tej powodzi kwiatów, na tle nieba, mieniącego się ostatniemi opalami zachodu, rysowała się gdzieniegdzie ciemna sylweta sosny, o sękatym pniu i dziwacznie pokręconych konarach.

Tatewaki podniósł głowę. Na drodze przed sobą ujrzał młodą kobietę. Była smukła i wiotka, ubrana w niebieską, bawełnianą suknię. Cicho i lekko szła po samotnej drodze wśród liljowego zmierzchu.

— To zapewne służąca jakiejś damy młodej i pięknej — pomyślał Tatewaki. — Przykro jej musi być i nieswojo, samej o zmierzchu, wśród takiego pustkowia.

Przyśpieszył kroku i wkrótce zrównał się z dziewczyną.

— Dziecko, — rzekł łagodnie — skoro los kazał nam iść jednaką, samotną drogą, to pozwól mi być ci towarzyszem, bo oto zmrok coraz gęstszy i wkrótce zapadnie noc.

Śliczna dziewczyna zwróciła ku niemu twarz uśmiechniętą.

— O, jakże się moja pani ucieszy! — zawołała.

— Twoja pani...? — spytał zdziwiony Tatewaki.

— Naturalnie, szczęśliwa będzie, żeś przybył nareszcie.

— Że przybyłem...?

— A tak długo cię czekała, tak długo... Ale teraz już nie będzie o tem myśleć.

— Nie będzie...? — rzekł Tatewaki, idąc wciąż obok dziewczyny. Był jak we śnie.

Wkrótce oczom ich ukazał się mały, jasny domek. Przed domem był niewielki ogród, pełen pachnących kwiatów, wśród których wił się strumyczek, szemrząc po kamieniach. Nad strumykiem mostek drewniany przerzucał się wdzięcznym łukiem, a dokoła domu i ogrodu biegła bambusowa palisada.

— Tu mieszka moja pani — rzekła dziewczyna.

Otworzyła furtkę, weszli do ogrodu. Zbliżywszy się do domu, Tatewaki ujrzał młodą, piękną damę, czekającą na progu.

— Przybyłeś wreszcie ukoić moją tęsknotę, o panie mój — rzekła.

A on odparł:

— Jestem, pani...

A powiedziawszy to, uczuł, że kocha tę kobietę całą swoją istotą i że kochał ją zawsze... odkąd miłość istnieje.

— Najdroższa moja — szeptał — czemże jest czas, dla takich jak my? Wieki, tysiące lat są niczem...

Ujęła go za rękę i zaprowadziła do pokoju z białemi, miękkiemi matami i okrągłemi oknami. Przed jednem z okien stała lilja w kryształowym wazonie. Usiedli na matach i rozmawiać poczęli tak, jakby się rozstali zaledwie wczoraj. Nagle do pokoju weszła staruszka, niosąc srebrny flakon pełen saké, trzy czarki i wszystko, czego potrzeba do obrzędu zaślubin.

A wówczas Tatewaki i młoda dama wypili odwieczne „Trzy Razy po Trzykroć".

Po chwili rzekła:

— Najdroższy wyjdźmy do ogrodu, patrz, miesiąc srebrzy liście drzew i krzewów, a noc jest taka przezrocza, szmaragdowa...

Powstali i szli obok siebie poprzez ogród pełen pachnących kwiatów. Ale skoro zamknęła się za nimi bambusowa furtka, domek i ogród kwietny i furtka nawet, wszystko poczęło się we mgły rozwiewać — aż zniknęło.

— Co to ma znaczyć?! — zawołał Tatewaki.

— Nic, nic—uspakajała go z uśmiechem—już nam to niepotrzebne, więc znika, przemija.

Pozostali sami na bezludnem pustkowiu. Wokoło nich szerokim kręgiem rosły białe lilje, a oni stali naprzeciw siebie, bez ruchu, milcząc. Tylko oczy ich spotkały się i nie rozłączyły już więcej, a poprzez jasną smugę wzroku rozkochane ich dusze zdawały się wzajem przenikać.

Trwali tak całą noc.

O świcie ona drgnęła, a z ust jej wybiegło ciche westchnienie.

— Pani, co tobie? — spytał Tatewaki.

Młoda dama odpięła pas, który w formie złotego węża o oczach rubinowych otaczał jej kibić i okręciła go dziewięć razy wokoło ramienia ukochanego.

— Najdroższy — rzekła — musimy się rozstać. Patrz, tyle lat upłynie zanim znów się spotkamy...

I mówiąc to dotykała złotych pierścieni na ramieniu młodzieńca.

— Kto jesteś, jedyna? — zawołał Tatewaki — powiedz mi chociaż swe imię!?

Wstrząsnęła głową.

— Nie mogę... A zresztą, poco? Czyż ja się pytam o twoje? Wszakże i tak się kochamy. Odchodzę teraz do swoich, na równiny, na zielone łąki... ale mnie tam nie szukaj, tylko czekaj, czekaj...

Mówiąc to, nikła mu w oczach.

Kształty jej rozwiewały się coraz bardziej. Zdawały się wsiąkać, niby mgła, w perłową jasność świtu.

Tatewaki padł na kolana i wyciągnął dłoń, aby uchwycić długi biały rękaw. Ale napróżno. Znikła. Młodzieniec uczuł dziwny chłód w całem ciele i upadł twarzą na ziemię, wilgotną od rosy. Niebo różowiło się jutrzenką. Długo leżał, jak martwy, bez czucia i myśli. Dopiero ciepłe promienie wschodzącego słońca przywróciły mu życie. Powstał.

— Równiny, zielone równiny, tam ją znajdę—szeptał wciąż jedną myślą ogarnięty i ze złotym darem owiniętym około ramienia, puścił się w drogę. Przebiegł pagórki, mijał wzgórza, ze stromych skalistych zbocz spuszczał się coraz niżej, niżej, ku równinom. Wreszcie przybył nad brzeg szerokiej modrej rzeki, po której płynęły łódki uwite ze świeżego kwiecia, z róż i lilij i dzwonków leśnych i lotosu.

Na obu brzegach rzeki stały tłumy ludu, zawodząc pieśni święte. Ujrzawszy młodzieńca, zwrócili się ku niemu.

— Zostań z nami! — wołali — wczoraj była Noc Duchów, Noc tajemnic! Dusze zmarłych spłynęły na ziemię, aby dopełnić przeznaczenia i na skrzydłach wiatru wędrowały tu i tam, odwiedzając strony dawniej kochane. Dziś powracają do Youn. Na łódkach z kwiecia, po błękitnej fali płyną do krainy Cieni. Zostań i wraz z nami żegnaj Odchodzących.

Ale Tatewaki odrzekł:

— Pokój duchom tułaczym. Nie mogę zostać.

I szedł dalej, aż po wielu dniach wędrówki dotarł do Równin Zielonych, o ktorych mówiła mu ukochana. Ale nie znalazł jej nigdzie.

Przed oczyma jego rozciągał się tylko bezkreśny step, usiany dawno opuszczonemi mogiłami. Długie ich szeregi, wysoko porosłe trawą i chwastem, szły gdzieś w dal, bez końca — i zlewały się na horyzoncie w jedno falujące morze zieleni...

Tatewaki powrócił w swe rodzinne strony. Przez dziewięć lat, długich jak wieki, żył samotny w małym domku wśród ogrodów. Nigdy nie zaznał szczęścia domowego ogniska, nigdy dziecięce usta nie zawołały nań słodkiem imieniem ojca. Pracował, tęsknił, — i nieraz wieczorem, po dniu pełnym znoju, szeptał, patrząc na migocące gwiazdy:

— Najdroższa moja, czekam cię tak niecierpliwie, tak bardzo niecierpliwie... Życie moje to szara nić, którą myśl o tobie złoci... O ukochana, nie odwlekaj swego przybycia!"

Dziewięć lat minęło —

Któregoś wieczora wyszedł Tatewaki do ogrodu. Słońce już zaszło i noc zapadała. A była to właśnie Noc Duchów. Tatewaki błądził wśród drzew, wzrok utkwiony miał w ziemię, a duszę pełną smutku i tęsknoty.

Podniósł głowę. Na ścieżce przed sobą ujrzał młodą kobietę. Była smukła i wiotka, ubrana w niebieską bawełnianą suknię. Cicho i lekko szła po ogrodowej dróżce, wśród liljowego zmierzchu.

Tatewaki przyśpieszył kroku i zrównał się z dziewczyną.

— Dziecko — rzekł łagodnie — skoro los kazał nam iść jednakową, samotną drogą, to pozwól mi być ci towarzyszem, bo oto zmrok coraz gęstszy i wkrótce zapadnie noc.

Śliczna dziewczyna zwróciła ku niemu twarz uśmiechniętą.

— O, jakże się moja pani ucieszy! — zawołała.

— Ucieszy się naprawdę? — zapytał Tatewaki.

— Pewnie! Czas rozłąki był tak długi...—westchnęła.

— Długi i bardzo smutny...

— Ale teraz już zapomnisz o tem.

— Weź mnie do twej pani! — zawołał Tatewaki.— Prowadź mnie, bo w oczach mi się ćmi i nic nie widzę, słabnę, sił mi braknie... Nie puszczaj mojej ręki, bo jakiś dziwny lęk mnie ogarnia... Och, zabierz mnie do twej pani!

Nazajutrz służba znalazła go martwego. Łagodnie uśmiechnięty leżał, jakby uśpiony, w cieniu drzew.

Spolszczyła HALINA BARDZIŃSKA

GENEZA „ZYGMUNTA PODFILIPSKIEGO"

(Urywek pamiętnika literackiego)

II.

„Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego", oprócz swej formy podstępnego panegiryku i treści dosyć nowej, ma jedną jeszcze odrębność od innych moich książek. Jedyna to z nich, której plan, poprzedzający rozpoczęcie pisania, ułożyłem metodą filozoficzną, nie szeregiem obrazów, notat bezpośrednio do tekstu użytecznych, lub za pomocą krótkiego zanotowania fabuły. Zastanowiłem się naprzód sumiennie nad tem, jak mój Podfilipski zapatruje się na siebie samego, na obowiązki swe względem społeczeństwa; jakie ma pojęcie o religji, o honorze; jak pojmuje kobietę i miłość; jakich i za co ludzi ceni, a jakich lekceważy; jakie może mieć zdanie o historji, o literaturze i sztuce. Dopiero gdym ustalił ostatecznie kategorję filozoficzną mego bohatera, zacząłem go wprawiać w ruch, przeprowadzać przez obrazy i sceny dobrane. Fabułę dostosowałem później do rozdziałów, odpowiadających paragrafom mego studjum psychologicznego nad jedną odmianą człowieka, której poświęciłem książkę i której podporządkowałem inne postacie działające. Zdaje mi się nawet, że w książce czuć podkład kategoryj filozoficznych.

Jak już rzekłem, Podfilipski nie jest kopjowany z jakiejś jednej żywej postaci. Śmiem nawet powiedzieć, że jest zbyt konsekwentny, zbyt doskonały właśnie w swych niedoskonałościach, aby mógł być portretowem studjum z jednego człowieka. Ale gdym o nim pisał, wydawał mi się osobą żyjącą. Mogłem podyktować bez omyłki jego zdanie o byle jakiej materji. I książka, której pisanie rozpocząłem bezpośrednio po zjawieniu mi się gotowej formy w wagonie, szła mi tak łatwo i szybko, jak prawie żadna. Po 3 — 4 miesiącach samotnego pobytu na wsi (w Samoklęskach) była gotowa, a choć ją wydałem dopiero w rok później, po ostatecznem oszlifowaniu, pozostała bez zmian zasadniczych.

Książkę, jeszcze w rękopisie, przyjęło do wiadomości i do serca kilku przyjaciół, przedewszystkiem Djonizy Henkiel, któremu ją dedykowałem. Wyznam, że i mnie samemu podobała się. Czułem, żem stworzył coś nie zupełnie pospolitego, a oddawszy rzecz do druku, oczekiwałem z upragnieniem szerokiej rozmowy rodaków o moim temacie. Gdy zaś, po wyczerpaniu natychmiastowem dwóch pierwszych wydań, książka zaczęła rozchodzić się szeroko po świecie i posypały się o niej setki sprawozdań i recenzyj, powodzenie książki sprawiło mi jedną z najszczytniejszych w mojem życiu radości. Nie rozdymało mnie pychą, ile że doraźnego rozgłosu nie uważam za nieomylny sprawdzian wartości dzieła, a o poziomie krytyki literackiej nie wiele trzymam, chociaż wysoko sobie cenię zdania kilku poważnych krytyków. Radość moja wynikała głównie skądinąd. Otom dopiął, po długich próbach i opieszałościach, wymarzonego oddawna celu: zdobyłem możność zniewalania wielkich mas ludzi do myślenia mojemi myślami, do wzruszania się mojemi uczuciami. Z tej władzy suggestyjnej skorzystać mogłem dla rozpowszechniania wpływów pięknych i pożytecznych, głównie wśród Polaków. Od lat dziecięcych marzyłem o nauczaniu mego narodu za pomocą suggestji artystycznej i nigdy nie pozbyłem się tych pragnień, ani przekonania, że najwyższa literatura ma na celu nie piękno abstrakcyjne, lecz piękno dobroczynne.

Nie wyobrażałem sobie przecie, żem przez jedną książkę zdobył stanowisko wyroczni, ale cieszyły mnie bardzo odgłosy wypuszczonej książki, która przez czas dłuższy dzwięczała bez ustanku w atmosferze literackiej Polski, a miała następnie swe echa wtórne i w innych krajach. Oprócz wszystkich chyba zawodowych krytyków naszych pisali o niej profesorowie, księża, kobiety i nawet ludzie, którzy dotąd nic nie drukowali o literaturze, poczuli potrzebę ogłoszenia zdania o Podfilipskim. Zdania były naogół pochwalne, czasem entuzjastyczne, niekiedy kwaśne, albo i niezdarne. Ale wielki gwar, który się uczynił, dyskusja, oceny i repliki — dowiodły mi, że książka żywo zajęła kraj cały, żem zyskał życzliwy posłuch i odtąd mówić mogę z szerokiemi kołami z osiągniętego stanowiska.

Niepokoiła mnie tylko jedna wątpliwość: czy mego wynalazku stylowego nie przesubtelizowałem? Wiadomo, że od początku do końca książka ta udaje panegiryk, a zarazem ciągle podaje w wątpliwość cnotę, a nawet rozum i uczciwość Zygmunta Podfilipskiego. Tę ciągłą grę w zagadki etyczne umożliwiłem przez to, że dodałem Podfilipskiemu pewne wdzięki konwersacyjne, Ligęzę zaś (tego, który pisze niby panegiryk) uczyniłem łatwowiernym aż do naiwności. W miarę jak postępuje opowiadanie, czytelnik coraz bardziej traci wiarę w moralną i społeczną wartość bohatera; aż nareszcie Podfilipski okazuje się nicponiem, a jego panegirysta satyrykiem. Chodzi zresztą głównie o to, jak dorysowana jest postać tytułowa Zygmunta Podfilipskiego, gdyż Ligęza jest właściwie tylko pozą, przybraną przez autora, sposobem pisarskim bardziej, niż osobą działającą. Mnóstwo uważnych i inteligentnych czytelników tę moją grę zrozumiało i ucieszyło się, że im dałem poznać typ w literaturze nowy, choć w życiu rozpowszechniony i żem tego dokonał sposobem niepowszednim. Znaleźli się jednak i tacy u nas, którzy panegiryk Ligęzy wzięli na serjo. Póki to byli intelektualni sklepikarze, albo zatwardziali sybaryci, szukający tylko aprobacji swych zasad — nie dziwiłem się. Ale i paru krytyków okazało zupełną nieprzenikliwość w stosunku do mego zamiaru satyrycznego, a jeden profesor uniwersytetu dał mi nawet admonicję za szerzenie zasad fałszywej filozofji!

Takie odosobnione głosy pobudziły mnie do namysłu, czy w niektórych miejscach tekstu nie przesoliłem zagadkowością, zaciemniając me istotne zamiary? Bo że Podfilipski powie od czasu do czasu coś błyskotliwego, dowcipnego, lub nawet prawdziwego—to niezbędne. Inaczejby nikt nie mógł mieć o nim choćby chwilowego złudzenia, że jest to człowiek inteligentny i przyjemny. Że Ligęza tu i ówdzie może się wydać zbyt naiwny — to przecie zaraz poprawi swą reputację, gdy się ujawni, że użył oślej skóry, jako maskarady i że udało mu się skutecznie oszukać czytelnika. Rewidowałem długo swój tekst—i nic nie zmieniłem.

Winszowałem sobie tego uporu następnie, gdy „Podfilipski" zaczął się ukazywać w tłomaczeniach na obce języki. Z pomiędzy kilkudziesięciu rencenzyj niemieckich, które mi nadesłano, ani jedna nie podawała w wątpliwość mojej intencji satyrycznej. Francuski mój wydawca (Plon) zaproponował, aby usunąć w tłomaczeniu „Annexa", gdyż i bez nich postać Podfilipskiego jest zupełnie dorysowana. Nie zgodziłem się na to, gdyż powieść była już szeroko rozpowszechniona. „Annexa" zaś napisałem właśnie dla tego, aby nie pozostawić żadnej wątpliwości o mojem zapatrywaniu na wartość moralną Zygmunta Podfilipskiego.

Sądzę, że moje zamiary pisarskie są w książce wykonane. Takiego zresztą zdania są rzesze ludzi, którzy to zdanie ujawnili. Ja zaś tu nie zajmuję się oceną mych utworów, tylko daję do nich objaśnienia subjektywne,

ogółowi nieznane, lub trudniejsze do odgadnienia z samego tekstu. Naprzykład przy pisaniu „Żywota Z. Podfilipskiego" miałem jeden zamiar techniczny ciągle na myśli, który muszę objaśnić przez rozwinięcie pewnej teorji.

Szczytem powieściopisarstwa jest wywołanie w czytelniku złudzenia żywej prawdy zdarzeń i dusz ludzkich. Jak się to osiąga? — zadługoby mówić, a i wogóle niepodobna sformułować w tym względzie przepisów. Chcę tylko wspomnieć o zewnętrznej formie opisu, która im większe ma prawdopodobieństwo, tem łatwiej trafia do przekonania czytelnika. Utartą formą powieści jest spisane opowiadanie autora, któremu trzeba wierzyć, że wie wszystko o zdarzeniach i osobach w powieści uwydatnionych; wie naprzykład, co przy rozmowie kilku osób każda z nich myśli, poza tem, co mówi; wie także, co każda myśli, gdy odejdzie na inne miejsce; zna najtajniejsze losy każdej z kilku, lub kilkudziesięciu osób wyprowadzonych na powieściową widownię. Na te wszystkie nieomylne powiadomienia, czytelnik daje autorowi kredyt z góry, gdyż inaczej nie zajmowałoby go wcale opowiadanie. Ale zawsze w świadomości czytelnika majaczy uśpiona trzeźwość: „Skąd autor może to wiedzieć?—przecie to tylko sztuka, albo i blaga? W życiu może tak być, a może inaczej?" — Zadaniem pisarza jest: uśpić te trzeźwe wątpliwości, wzbudzić, choćby na parę godzin, wiarę w absolutną realność podawanych zdarzeń, w spowiedniczą ścisłość zeznań, w lekarską biegłość djagnozy. Aby się zbliżyć do tak mocnego panowania nad umysłem czytelnika, dobrze zrobi pisarz, usuwając jaknajwiększą ilość konwencyj literackich, zbyt rażących, a przedewszystkiem ukrywając swoją wszechwiedzę. Może tego dopiąć, obierając formę pamiętnika, spisanego niby i powierzonego mu przez głównego bohatera powieści. Wtedy publikacja, umiejętnie wystylizowana, nabiera wielu cech przekonywających czytelnika. Ale znów autor zacieśnia sobie pole rozwinięcia swej fakundy i wyobraźni, udając ciągle styl i tok myśli urojonego człowieka, tem bardziej, jeżeli ten człowiek, jedyny przemawiający w tekście, ma mieć umysł niebogaty i styl powszedni.

Te wszystkie namysły nurtowały we mnie przed rozpoczęciem pisania „Żywota Podfilipskiego". Obrałem nareszcie formę, o ile mi się zdaje, szczęśliwą. Kazałem pisać o Podfilipskim jakiemuś literatowi Ligęzie, towarzyszowi i wielbicielowi zmarłego już, przeto zdefinjowanego... bohatera — i dałem Ligęzie zasób stylu i kultury literackiej, na jaki mnie stać było, bo mój własny. Dodałem mu tylko rys zaślepienia i zupełnej łatwowierności w stosunku do osoby nieboszczyka,—rys, który po przeczytaniu książki rozwiewa się przez łatwe odkrycie, że cały Ligęza jest tylko sposobem literackim autora. Ten podstęp dodaje opowiadaniu dużo prawdopodobieństwa: niby to Podfilipski zyskał sobie po śmierci niezgrabnego biografa, który chcąc go chwalić, ukazał go wcale nie godnym pochwały.

Ten sposób ujęciu satyry wydaje mi się nowym, a podkreślam go dlatego, że w żadnym z bardzo wielu artykułów o Podfilipskim, które czytałem, mój wynalazek pisarski nie został wyłuszczony.

Parę słów o przekładach „Żywota Podfilipskiego" na obce języki. Nie znam ich wszystkich i dowiaduję się od czasu do czasu, aż do przeszłego roku o istnieniu niektórych przekładów moich pism w Niemczech i Czechach, drukowanych w początku wieku. Najlepszy ze znanych mi przekładów „Podfilipskiego", to francuski, dokonany przez znakomitego pisarza i wybornego znawcę polskiego języka, Pawła Cazin. Wyszedł w Paryżu u Plon'a i zyskał już sobie reputację wzorowego przekładu.

Na język niemiecki tłomaczył mnie p. B. W. Segel, którego znam tylko z paru listów. Nadał książce tytuł: „Ein Uebermensch, Leben und Gedanken des Herrn Siegmund von Podfilipski". Przekład ten wydany parę razy w Sztutgarcie i w Lipsku (Deutsche Verlagsanstalt 1902) podaje dobrze części tekstu rozumowane, lecz wulgaryzuje rozmowy, które brzmią jakby w niemieckiej knajpie, zamiast w salonie. Jest też parę śmiesznych lapsusów. Np. gdy mówię, opisując ulicę warszawską przed świętami wielkanocnemi: ...„przebiegał chłopiec od cukiernika z pstrokatym mazurkiem na głowie", p. Segel tłómaczy: „da lief der bunt gekleidete Masurenknabe"...

Jest jeszcze inny przekład niemiecki „Podfilipskiego", wydany przez „Eischers Verlag". Nie miałem go dotąd w ręku.

Bez ceremonji potraktował mój tekst p. Arronet, tłómacz na język rosyjski (z niemieckiego, co się okazuje z tytułu „Swierchczełowiek" — Nadczłowiek — naśladowanego z pomysłu p. Segla). Pan Arronet książkę skrócił, obcinając, między innemi, parę ustępów mniej przyjemnych dla Rosjan!

Przekładów na język czeski (p. Vondraćka) i chorwacki nie mogę skontrolować, nie znając tych języków.

Doświadczenia moje i innych kolegów-literatów polskich powinny nas skłonić do stowarzyszenia, mającego na celu ochronę i poniekąd kierownictwo przekładów z polskiego na obce języki. Przed wojną i jeszcze podczas wojny tłómaczył nas i wydawał, kto chciał, najczęściej bez pozwolenia autorów, bez jakiejkolwiek zapłaty. Obecnie od takich procederów broni nas Państwo Polskie. Ale my, literaci, brońmy się od niepowołanych i nieudolnych tłómaczów.

JÓZEF WEYSSENHOFF

Z cyklu: LEWĄ RĘKĄ

SŁOTA

STRUGI ulewnych deszczów i struny harfiane
Równają poetycznie myślący ludziska,
Ja,—ilekroć się w taki instrument dostanę, —
Jestem jak zgrzyt, co w rzewną melodję się wciska.

Z kołnierzem podniesionym prawie wyżej nosa,
Policzkowany wodą, pół-niemy i głuchy,
Czuję, że we mnie sączą rozmokłe niebiosa
Dreszcz wstrętny, jak miłosne spojrzenie staruchy,

Niby całus obmierzły woda w butach mlaska,
Z podeszwą nieodporną wiodąc flirt zażarty,
Który czasami mącę, klnąc bogi i czarty,
Gdy mnie błotem obryzga pędząca kolaska.

A jednak, kiedy słota do okna zastuka,
Zawszę mię coś przymusza wybiedz z domu ku niej,
Choć wzbrania kataralno-moralna nauka
Dreptać po mokrych brukach, jak po kwietnej runi.

Coś zachęca, coś każe, kapryśnie a mile
Wichurze spłatać figla z przejmującym dreszczem,
Z nią, na niej, jechać, niby na łysej kobyle,
I na miasto zamglone, rozkisłe spaść z deszczem.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

LIBERUM VETO

Wartość formuł historjozoficznych. — Uwagi Garskiego. —Pęd życia dośrodkowy i odśrodkowy. — Rozdzieranie skóry Rzeczypospolitej w Sejmie. — Niech się zastanowią. — Wesoły minister i zagadkowy poseł.

ŻADNEMU z mędrców nie udało się dotąd ująć najmniejszego kawałka życia w ścisłą formułę, pomimo że wielu o to się kusiło. Już sam pojedyńczy człowiek jest tak złożonym i zawikłanym splotem zagadek, że zawarcie jego istoty i jej objawów w jakichś twierdzeniach na podobieństwo matematycznych jest niemożliwe. Ale po co tu człowiek? Jeżeli najprzenikliwszy badacz nie umie nam wszystkiego powiedzieć o jego paznokciu lub włosie, to cóż dopiero mówić o społeczeństwie i całej ludzkości nie tylko w jej stanie chwilowym, ale w wielotysiącznym ciągu jej dziejów! To też wszystkie historjozofie są jedynie mniej lub więcej powierzchownemi spostrzeżeniami „z lotu ptaka", niewyraźnymi i zamazanymi konturami widoków historyczno-socjologicznych. Taką również wartość posiadają wydane w roku zeszłym *Uwagi nad zagadnieniem dziejów powszechnych i polskich* dr. Garskiego. Książka ta jednak, jak inne jej rodzaju, w długim łańcuchu ogniw kruchych i słabo z sobą spojonych zawiera pewną ilość mnożnych, będących trafnemi zaznaczeniami rysów szczegółowych. Według autora dzieje powszechne są szeregiem objawów „pędu życiowego, który naprzemian przybiera kierunek dośrodkowy i społecznie odśrodkowy. Tym zmianom odpowiadają kolejno następujące po sobie epoki organiczne, syntetyczne, całkujące się, w których panuje dążność społeczeństw do skupiania się i organizowania, tudzież epoki przejściowe (odśrodkowe), analityczne, indywidualistyczne, różniczkujące się, w których budowa społeczna rozluźnia się i istnieje pragnienie wyzwolenia się z różnego rodzaju więzów w poprzedniej epoce organicznej przez zwyczaj, obyczaj i prawo nałożonych". Polska, która do rozbiorów odbywała ruch odśrodkowy, będący przyczyną jej upadku, po stracie niepodległości weszła w dośrodkowy, który jednak znajduje się dopiero w okresie początkowym, wymagającym jeszcze długiego rozwoju i uzgodnienia z ustrojem narodów i państw zachodnich. Formuła p. Garskiego jako powszechne prawo histozjozoficzne, 'nie może się ostać bez podpory faktów dowolnie obranych i sztucznie podciągniętych, a w odniesieniu do dziejów polskich musiała być nawet opatrzona przyznaniem, że one snuły się odmiennie od innych społeczeństw, ale daje właściwą nazwę obecnemu stanowi naszego narodu. Rzeczywiście znajduje się on jeszcze w ruchu odśrodkowym, rozkładowym. Wszystkie więc uwagi autora nad tym stanem są tak rozumne i słuszne, że mogą służyć, jako upomnienie dla ciał ustawodawczych, organów rządowych i całego społeczeństwa. Trzeba — mówi on — „wyrwać z duszy polskiej ten specyficzny, przekorny, niesforny, sobkowski, sobiepański indywidualizm rozkładowy, który uniemożliwił rozwój i rozkwit Polski przedrozbiorowej, dziś zaś hamuje i utrudnia budowę Polski odrodzonej, który sprawia, że Polak umie być swawolnym, nie potrafi natomiast być wolnym, t. j. sharmonizować swoje pragnienia i dążenia z pragnieniami i dążeniami innych dla wytworzenia silnej woli zbiorowej. Idzie więc o ukrócenie tego indywidualizmu, który stawia interes swój, czy swojej partji lub grupy, lub ambicje własne czy partyjne albo wreszcie swoją wolę po nad interes całości... Jednostka w Polsce musi zeskromnieć, zrezygnować z pretensji zadziwienia sobą świata i przewodzenia mu a natomiast nauczyć się okiełzania, opanowania odruchów, podporządkowania się współpracy, współdziałaniu".

Nie można na rachunek kapryszącego pesymizmu zapisywać tych żalów, skarg i cierpień, które dziś czuje i głosi całe społeczeństwo. Wszyscy godzą się na jedno, że u nas dzieje się źle i coraz gorzej, że życie składa się z udręczeń coraz dotkliwszych. Bez przesady rzec wolno, że jeśli szczery i wrażliwy Polak, przeczytawszy codziennie wszystkie gazety, nie chwyci jakiegoś sznura i nie powiesi się z rozpaczy, to chyba od samobójstwa powstrzyma go nikły promyczek nadziei, że może kiedyś, chociaż nie za jego życia, będzie lepiej. Nie wcześniej.

Oto po przerwie zebrał się Sejm. Co za ohydny widok tych straganów partyjnych, tego jarmarcznego targu, tych gorszących i brutalnych kłótni — nie o dobro narodu, ale o korzyść osób i stronnictw! Folwarcznik ciągnie skórę zdartą z Rzeczypospolitej w swoją stronę, przemysłowiec w swoją, Żyd w swoją, ta skóra trzeszczy, pęka i rozdziera się, handlarz, który urwał dla siebie jej kawał cieszy się, inni mu wymyślają lub proponują układ. Nie nowość to w naszych dziejach, — darliśmy skórę Rzeczypospolitej również dawniej, tylko innemi rękami. Przysłuchajcie się kłótniom i targom klubów sejmowych: przewijać się tam będą rozmaite wyrazy: zdobycze społeczne proletarjatu, powiększenie czasu pracy roboczej, podatek majątkowy, kredyt, cła, opozycja, votum nieufności i t. d., tylko nie usłyszycie: Polska. Są w Sejmie naszym dość liczni posłowie, których usta nie wymówiły nigdy publicznie tego wyrazu. Politycy wszelkich barw i odcieni, postarajcie się — jeśli to dla was możliwe — zapomnieć na chwilę o wszystkich iuteresach osobistych i partyjnych, o wywieraniu nacisku na władze w celu zdobycia korzystnych posad i przedsiębiorstw dla siebie, swoich spólników, krewnych, przyjaciół lub znajomych i pomyślcie, że wybrudzonemi rękami tkacie całun pogrzebowy dla chorej, niedawno z więzienia wypuszczonej ojczyzny. Uprzytomnijcie sobie, że wy robicie to samo, co niegodni i samolubni możnowładcy przed dwustu laty. Sprawozdawcy obrad sejmowych zapewniają, że ta świadomość błędów i win zaczyna rozświecać się w umysłach nawet tych posłów, którzy dotąd nie rozumieli i nie odczuwali żadnej innej pobudki, prócz chęci zadowolenia swej nienasyconej żądzy osobistego lub partyjnego żeru. Rzeczywiście Senat poważnym rozbiorem projektu reformy rolnej dał pocieszający dowód dojrzałości obywatelskiej; ale czy on znajdzie naśladowców, zwłaszcza w zarażonym moralnie Sejmie, którego zdrowe organy daremnie usiłują zwalczyć jego chorobę.

Jakżebyśmy pragnęli posiadać wesołe usposobienie ministra Skrzyńskiego, którego nic nie zdoła zasmucić, który z każdej podróży zagranicę przywozi nam w darze uśmiechy radości, który nawet z zachowania się właściciela zakładu pogrzebowego, ofiarującego trumnę dla Polski, przedstawiciela Anglji jest „szczególnie zadowolny". Prawdziwy *l'homme qui rit*. Prawdopodobnie jest on również zadowolony z posła polskiego w Berlinie, który złożył wizytę niemieckiemu ministrowi spraw zagranicznych dla powinszowania mu „pomyślnych rezultatów konferencji w Locarno". Gdy sam nie umiem rozwiązać jakiejś trudnej zagadki, wdzięczny jestem temu, kto mi do odgadnięcia jej pomoże. Jeżeli więc między czytelnikami *Myśli Narodowej* — akcentuję: *Myśli Narodowej* — znajdzie się tak domyślny, niech raczy mnie — a zapewne nie tylko mnie — wytłómaczyć, co skłoniło posła polskiego do tych odwiedzin i czego on życzył ministrowi niemieckiemu. To bardzo ciekawe.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

Z SĄDOWNICTWA

OPINJA publiczna, coraz lepiej orjentująca się w postępach i brakach naszego budownictwa państwowego i cywilizacyjnego, przypatruje się bacznie działalności i ustrojowi naszego sądownictwa. Z wielkiem zainteresowaniem czytamy sprawozdania z procesów, które się w sądach polskich toczą i mają charakter ogólniejszy. Wielkie procesy prasowe, sprawy Filasiewicza i Steigera we Lwowie, proces Muraszki, procesy wytaczane komunistom i in. pozwalają nam zapoznać się z całemi dziedzinami życia publicznego i kulturalnego, a z drugiej strony z duszą obywatelską sądownictwa.

Powołanie sędziów w Polsce należy do najbardziej odpowiedzialnych i szczytnych. Szczytne jest dlatego, że wypływając z istoty społecznej prawa, czyni ono z sędziów idealnych architektów państwa. Oni przed oczyma obywateli i urzędów pełnią tę rolę, którą w budownictwie przy pomocy pionu spełnia majster sprawdzający, czy ściany są w zgodzie z elementarnem prawem fizyki. Przyrząd ten do wymierzania kąta prostego węgłów rzymscy majstrowie ciesielscy nazywali „normą". Stąd nazwa przenośna normowania. Sądy są „normą" do wykazywania trwałości państwa. Jeśli sędziów zawodzi poczucie sprawiedliwości i słuszności, poczucie bezstronności politycznej, poczucie tej bezwzględnej prawdy, którą dla nich powinno być dobro państwa, to państwo w oczach obywateli chwieje się.

Jeśli wolno określić wrażenie, jakie sądy polskie robią na opinji, to podkreślić należy zaufanie, jakiem ona darzy pierwszą instancję. Tu opinja miała możność stwierdzić wybitną cnotę obywatelską sędziów, opartą na umiłowaniu prawdy i szacunku dla zawodu sędziowskiego. Jeśli w wyższych kondygnacjach ta miara nieraz zawodzi, to przyczyny szukać należy w tem, że góra polskiej biurokracji jest przeważnie pokładem geologicznym z epoki budownictwa „aktywistycznego" pod okupacją. Wszyscy zaś ówcześni urzędnicy państwowi i działacze dotknięci byli bakcylem polityki ukradkowej i nie jasno myślą po polsku. Kto z nich został w służbie, to jest dzisiaj już dygnitarzem wyższej instancji.

Tem się tłumaczy brak właściwego tonu państwowego w tych kondygnacjach, a przedewszystkiem stałe schorzenie ministerjum sprawiedliwości, którego nie można było uleczyć przez szereg lat rządów lewicowych. Błąkają się po tem ministerjum tradycje adwokatów bez powagi wewnętrznej, którzy dziś umieją bronić złych spraw politycznych, a tak niedawno byli tam dygnitarzami. Tradycje te łatwo odnaleźć w obsadzie stanowisk odpowiedzialnych, w pochopności, z jaką darzy się zaufaniem żydów w sądownictwie; tradycje te są źródłem skandalu, który wynikł teraz w sądownictwie warszawskiem.

Sędzia śledczy, żyd, w okolicznościach bardzo podejrzanych, pozwolił zbiec urzędnikowi bolszewickiemu, Juljanowi Leszczyńskiemu, który przekradł się do Polski z misją organizowania przewrotu i szczęśliwie dostarczony był sądowi przez policję.

Komisarz Leszczyński ma w Warszawie wielu dawnych znajomych i przyjaciół. Ci, co byli w Rosji po wybuchu rewolucji, pamiętają go, jak w tej kompanji stawiał czoło „uroszczeniom" polskim do tworzenia wojska. Na zjeździe wojskowych Polaków w Petersburgu w czerwcu 1917 r. on był rzecznikiem najwymowniejszym obozu Lednickiego. On w tym obozie należał do działaczy bodaj najkonsekwentniejszych.

Leszczyński, jeden z redaktorów „Trybuny", wydawanej w r. 1917 za pieniądze niemieckie, a stawiającej kropkę nad *i* Lednickiego w „Echu Polskiem" i „Dzienniku Piotrogrodzkim", nie mógł liczyć na pobłażanie polskiego kodeksu karnego. Pomógł mu nadspodziewanie polski kodeks obyczajowy w dziedzinie pracy.

Stało się w Polsce normą obyczajową pracy organizowanej—zmiatanie obowiązku, jak ze schodów, na szczeble pomocnicze. Biurokratyzm polega u nas na tej czynności spychania odpowiedzialności i zajęć. Kończy się na tem, że faktycznie o wielu sprawach decydują stenotypistki. Dygnitarz sowiecki, który osobiście fatygował się do Polski, nie wyręczając się nikim, poczuł się dotknięty do żywego lekceważeniem władz polskich, które delegowały do niego stenotypistkę... i wyszedł z biura w niewiadomym kierunku.

Można sobie wyobrazić, jak śmieją się z tego przyjaciele Leszczyńskiego, a przedewszystkiem ci adwokaci, którzy tak chętnie bronią w sądach polskich bolszewików. Dopomógł im Żyd, sędzia śledczy.

(x)

NIEPOKOJĄCE OBJAWY

NIE możemy się dziwić, że naród niemiecki, od skrajnych monarchistów do socjalistów, nie może się pogodzić z utratą na rzecz Polski kilku pięknych prowincyj i że dąży do zmiany obecnej granicy polsko-niemieckiej. Niepokojącemi nazwać można natomiast wszystkie te objawy, które wzbudzić mogą wrażenie, że nie będziemy bronili dość energicznie naszych posiadłości, albo nie wierzymy w trwałość naszego władania.

Nie możemy więc nie zanotować tu jako objawu niekorzystnego, że właśnie teraz socjaliści uznali za stosowne wystąpić z projektami zmniejszenia ilości wojska i skrócenia służby wojskowej. Ale takich objawów jest więcej.

Zaraz po zawarciu pokoju wersalskiego Niemcy, zarówno w Rzeszy, jak i na ziemiach naszych byli przeświadczeni o trwałości jego postanowień i dlatego wszyscy gorętsi patrjoci niemieccy postanowili się wynieść z Polski i optowali za Niemcami. Nadzieje odzyskania dawnej potęgi państwowej obudziły się dopiero obecnie i padło z Berlina hasło nieopuszczania dotychczasowych na polskiej ziemi siedzib.

Zachwiać te nadzieje może tylko systematyczne wyzyskiwanie wszystkich przyznanych nam praw i unikanie pozorów nawet ustępstw wobec presji rządu niemieckiego. Z tego względu za objaw niepożądany uważać należy, że rząd nasz wstrzymał wydalenie tych optantów niemieckich, którzy na zasadzie konwencji niemiecko-polskiej, tzw. „wiedeńskiej", mieli wyjechać 1 listopada. Interpelowani w tej sprawie pp. Wł. Grabski i Skrzyński dają wyjaśnienia dwuznaczne, w „Posener Tageblatt'cie" zaś ukazała się wiadomość, że p. Skrzyński oświadczył posłowi niemieckiemu Rauscherowi, iż rząd polski rezygnuje z wydalania optantów niemieckich i że rezygnację tę uważać należy za pośredni skutek polsko-niemieckiego traktatu arbitrażowego, zawartego w Locarno. P. Skrzyński nie po raz pierwszy jest inicjatorem ustępstw na rzecz Niemców, jego dziełem przecie miały być „beiraty" polsko-niemieckie, które nie doszły do skutku wskutek oporu społeczeństwa polskiego.

Organizowanie państwa jest rzeczą trudną, ciężkie z wielu względów czasy przeżywa cała Polska, a z nią i województwa zachodnie. Niepokojącym atoli objawem jest, że w tych województwach wzmaga się pod względem gospodarczym żywioł niemiecki w porównaniu z polskim. Na zjeździe kółek rolniczych w Tczewie okazało się, że Niemcy rolnicy i kupcy zbożowi otrzymują znaczne kredyty z Rzeszy, podczas gdy Polacy są kredytów całkiem niemal pozbawieni. Podobne wieści nadchodzą ze sfer przemysłowych i kupieckich z Byd-

goszczy i całego okręgu nadnoteckiego. Na Śląsku naszym „zdobycze socjalne“ są wprawdzie większe niż w jego części niemieckiej, ale i bezrobocie o wiele groźniejsze przybrało rozmiary.

Trzeba zdawać sobie sprawę z tych faktów niepokojących, trzeba umieć usunąć je lub im zaradzić.

HŁ.

MNOŻNIK

RADA ministrów — obwieszcza biuletyn — „ustaliła mnożnik dla uposażeń urzędniczych i wojskowych na listopad b. r. w wysokości 44“. Cyfra kabalistyczna i jak zawsze intrygująca obywateli, poco rząd bawi się w te mnożniki, skoro się chlubi ustaleniem waluty. Czy to słychane, żeby gdziekolwiek traktowano w ten sposób swój pieniądz?

Tego samego dnia dzienniki donoszą: min. spraw wewnętrznych redukuje policję o 3.000 osób. Przyczyną jest to, że skarb nie powiększył budżetu na r. 1926, tymczasem „pensje na podstawie mnożnej urzędniczej stale wzrastają“,..

A więc osłabia się tak znacznie ochronę ludzi i mienia, aby móc bawić urzędników nadzieją spadku złotego i powiększenia pensji...

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SEJM I RZĄD.

SEJM jest bezsilny — oto pierwsze, najogólniejsze wrażenie, jakie odnosi się z ostatniej dyskusji budżetowej i wynikających z niej głosowań.

Nazewnątrz wyglądało wszystko, jak należy. „Dyskusja generalna“ nad stosunkiem Sejmu do rządu odbywała się według ustalonych reguł, na trybunie pojawiali się kolejno przywódcy stronnictw, wygłaszali zdania słuszne lub niesłuszne, odpowiedzialne lub dyktowane względami najpłytszej demagogji, poruszali zagadnienia ogólne, lub rozwodzili się nad drobnemi, miejscowemi sprawami jednej parafji czy gminy. Publiczność przysłuchiwała się z galerji, a pochylone nad swym stołem stenografistki notowały pilnie każdy wyraz, aby przyszły historyk mógł dowiedzieć się z całkowitą, dosłowną dokładnością, jakie sądy dn. 23 października 1925 roku wypowiadał o położeniu Polski i jej polityce poseł Bryl.

Ale istotny sens rozpraw, gdy się nad nim dokładniej zastanowić, smutne co do roli i znaczenia Sejmu budzić musi refleksje. Oto bowiem treść i wynik ostatniej dyskusji, ujęte najkrócej, ale całkiem ściśle i wiernie: „Wszystkie stronnictwa niezadowolone są z rządu p. Władysława Grabskiego. Wnioski o votum nieufności dla rządu odrzucone zostały znaczną większością głosów“. I ta sprzeczność jest dla dzisiejszej sytuacji sejmowej faktem najbardziej znamiennym, najjaskrawiej stwierdzającym bezwład Sejmu i jego słabość. W dyskusji ze wszystkich stron padały pod adresem rządu słowa krytyki, nieraz słusznej, nieraz zgoła nieuzasadnionej, ale Sejm, jako całość, nie mógł przeciwstawić rządowi nic więcej ponad grę „kombinacyj personalnych“, osobistych rachub i ambicyj. O stworzeniu jakiejś stałej większości, wyłonieniu z niej rządu o konsekwentnym programie nie mówiono nawet i nie myślano, tak dalece rzecz jest beznadziejna. Cóż dziwnego, że rząd p. Grabskiego zwyciężył, że poczucie odpowiedzialności nie pozwoliło większości stronnictw na rozpoczęcie bezcelowego przesilenia?

Sejm jest bezsilny — sam zresztą coraz lepiej zdaje sobie z tego stanu rzeczy sprawę. Umysły pierwotne, jak np. przywódcy klubu „Wyzwolenie“, widzą ratunek w natychmiastowem rozwiązaniu Sejmu i rozpisaniu nowych wyborów. „Rozwiązanie Sejmu“ stało się tak zasadniczym punktem programu tego bezprogramowego zresztą stronnictwa, że gdyby nastąpiło, sprowadziłoby prawdopodobnie rozwiązanie lub przynajmniej rozpadnięcie się samego „Wyzwolenia“, pozbawionego głównej obręczy programowej, która je dziś spaja. Ale jeśli chcieć sumiennie ocenić sytuację polityczną w Sejmie i w kraju, widać jasno, że nie w rozwiązaniu izb prawodawczych szukać trzeba prawdziwego, skutecznego sposobu naprawy. Wysuwanie tego r e m e d i u m — to tylko brak śmiałości spojrzenia prawdzie w oczy, brak zdolności zrozumienia rzeczywistych przyczyn niedomagań lub świadome uchylanie się od ich zwalczania.

Bo istotną, najgłębszą przyczyną zła nie jest wcale układ liczebny stronnictw, ale ich bezprogramowość, często bezideowość, skostnienie w starych formach i formułkach, lenistwo myśli. To też leczenie tej choroby mechanicznym sposobem „nowych wyborów“ jest kuglarstwem albo dziecińStwem. Jedna jest tylko właściwa, pewna droga ku naprawie: t w ó r c z o ś ć. Bezwład Sejmu minie, gdy otrząsną się z bezwładu stronnictwa, gdy myśl polityczna zastąpi intrygę, a jasny program — demagogiczne hasła wiecowe. Nie jest to oczywiście droga łatwa i zgóry można przewidzieć, że nie wszystkie stronnictwa zechcą i potrafią na nią wkroczyć.

Ale poza tą drogą jedyną pozostają tylko bezdroża.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

NAGRODA NOBLA W 1925 R. SIGRID UNDSET.

NAGRODA Nobla za dzieło literackie została przyznana w tym roku pani Sigrid Undset, znakomitej powieściopisarce norweskiej.

W licznych utworach — nowelach i powieściach — Sigrid Undset zajmuje się głównie odtworzeniem życia uczuciowego kobiety w całej jego skali, a więc: dziewczęcia, kobiety zakochanej, małżonki, matki.

W dziełach nagrodzonej autorki mężczyzna schodzi na plan drugi, i jest zazwyczaj przedstawiany, jako istota słaba i chwiejna, nad którą kobieta roztacza macierzyńską opiekę. Kobieta jest tam wszystkiem, istotą pełną siły, woli i żywych namiętności, istotą świadomą, podczas gdy mężczyzna jest wcieleniem słabości, istotą pozbawioną poczucia odpowiedzialności, etc... Najrozmaitsze odmiany w ten sposób pojętej kobiety znajdują się w takich utworach Sigrid Undset, jak: „Marta Oylie“ (1907 r.): „Wiek Szczęśliwy“ (1908 r.); „Jenny“ (1911 r.); „Wiosna“ (1914 r.) „Odłamek zwierciadła zaczarowanego“ (1917 r.); „Chmury wiosenne“ (1921 r.) i t. p. Najznakomitszem dziełem laureatki jest trzytomowa powieść p. t. „Krystyna Lawransdatter“, napisana w latach 1920-21-22.

Powieść ta jest osnuta na tle życia obyczajowego Norwegji wieku XIV-go. Tu właśnie, jak utrzymują znawcy, ideał kobiety silnej, namiętnej i czułej zarazem, znalazł w postaci Krystyny Lawransdatter swe najpełniejsze i najbardziej urocze wcielenie... Wierzmy na słowo znawcom, miejmy przytem nadzieję, że wkrótce tę Georges Sand północy poznamy w przekładzie na polski.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Ukazał się dwudziesty trzeci z rzędu tom „Ludu“ *), wydawnictwa, w całości swej niezmiernie bogatego i cennego dla etnologji i dla całokształtu nauk antropologicznych wogóle. Wydawnictwo pod umiejętną redakcją prof. Fischera ze Lwowa służy z jednej strony syntetycznym opracowaniom etnologicznym, z drugiej zaś gromadzi materjał i informuje o ruchu naukowym,

*) *Lud*, organ polskiego Tow. etnologicznego, wydawany przez polskie Tow. ludoznawcze we Lwowie. Serja II, tom III r. 1924, ogólnego zbioru tom XXIII.

Nowy tom zawiera artykuł R. Ganszyńca p. t. „Pas czarowny". Moszyński K. publikuje schemat, według którego należy układac dane o materjalnej kulturze w etnologji; Frankowski E. daje wyczerpującą monografję zabiegów magicznych u ludu polskiego. Autor zastanawia się nad takiemi zwyczajami, jak specjalne przesądy, tyczące się pożyczania, sprzedaży i kupowania i t. p., których wiele zachowało się u naszego ludu. Bardzo ciekawą rozprawę pomieszcza prof. Bystroń, traktującą o wpływach pieśni szlacheckiej w poezji ludowej.

P. Seweryn Udziela ogłasza materjały etnolologiczne ze wsi Ocieka, pow. Ropczyckiego. Tom zamyka bardzo obfita część sprawozdawcza z literatury polskiej i zagranicznej. W sprawozdaniach tych zwraca na siebie uwagę kompletna bibljografja ludoznawstwa polskiego (1914—1924) opracowana przez prof. A. Fischera. Bibljografja ta unaocznia nam postępy polskiej nauki w dziedzinie etnologji, budząc uzasadnioną nadzieję dalszego jej rozwoju.

*

Polskie Towarzystwo Językoznawcze, założone na wiosnę r. b., postawiło sobie za cel naukowe badanie przedewszystkiem mowy ojczystej we wszystkich jej przejawach historycznych i djalektycznych, a następnie wydajną pracę na polu lingwistyki powszechnej. Towarzystwo to, skupiające w swem gronie już kilkudziesięciu członków, wśród których nie brak i uczonych sławy światowej, wybrało zarząd, który na posiedzeniu 28 czerwca ukonstytuował się, jak następuje: przewodn. prof. Jan Rozwadowski, zastępca prof. Wiktor Porzeziński (uniw. warsz.). sekretarz prof. St. Szober (uniw. warsz.), skarbnik prof. Tadeusz Kowalski (prof. orjent. na uniw. Jagiell.).

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Gabrjel Tadeusz Henner. którego wiersz dzisiaj ogłaszamy, lwowianin rodem, obecnie adwokat i rejent w Szubinie, wydał w r. ub. w Bydgoszczy czcionkami drukarni Narodowej dwie serje swoich pięknych poezyj: „Stara Bydgoszcz w pieśni", oraz „Księga godzin". Treści odpowiada doskonała szata zewnętrzna wydawnictwa, skomponowanego na sposób starych druków in 4-o ze złoceniami inicjałów kolorowych.

*

Od stycznia ma wychodzić w Warszawie pismo, poświęcone narodowej literaturze i kulturze polskiej, p. n. „Ruch Literacki". Redakcję obejmuje prof. Bronisław Gubrynowicz, obowiązki sekretarza sprawować będzie p. Piotr Grzegorczyk. Tymczasowy adres redakcji: Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 26, sem. literat. polskiej.

KRONIKA ZAGRANICZNA

W przekładzie francuskim wyszła ostatnio u wydawcy Bossard cenna bardzo książka Dr. Stanisława Sławskiego p. t. „L'accès de la Pologne à la mer et les interets de la Prusse Orientale". Książka, wydana najpierw po polsku, została już poprzednio przetłómaczona na język angielski i włoski. Wydanie francuskie poprzedzone jest przedmową p. Lacour Gayet, członka Institut de France, znanego i zasłużonego historyka.

P. Lacour Gayet, stwierdzając naukową objektywność wywodów Dr. Sławskiego, zaznacza, iż książka jego oddać może wielkie usługi czytelnikom francuskim, których zapozna bliżej z zagadnieniem, poruszonem przez „zuchwałą propagandę niemiecką". „Nie istnieje bowiem ani kwestja Pomorza — pisze p. Lacour Gayet — ani kwestja Gdańska, tak jak nie istnieje zupełnie kwestja Górnego Śląska, albo kwestja nadreńska. W całokształcie polityki Europy Środkowej i Zachodniej, istnieje jedna tylko kwestja wspólna, a jest nią całkowite wykonanie Traktatu Wersalskiego".

*

Na szczególną uwagę zasługuje świeżo wydana przez Payot'a praca Georges'a Groniaire p. t. „L'occupation Allemande en France" (1914—1918). Żadna z dotychczasowych prac, poświęconych opisowi rozlicznych zbrodni niemieckich, popełnionych w czasie wojny na terytorjum okupowanem, nie daje tak pełnego ich obrazu, jak właśnie to robi książka p. Groniaire'a. Przekonywa ona wymownie, iż wszelkie nikczemności i zbrodnie niemieckie były wysiłkiem systemu, zmierzającego do zupełnego wyczerpania Francji, aby w przyszłości nie mogła być współzawodniczką Niemiec na polu ekonomicznem i wogóle mocarstwowem.

*

Znany historyk, członek Akademji Francuskiej, G. Hanotaux napisał książkę p. t. „Le Général Mangin" (wyd. Plon'a). Poznajemy w niej wielkiego wodza Francji nietylko jako bohatera, lecz i jako człowieka o wybitnym umyśle i szlachetnym charakterze.

*

W „Revue d'Histoire diplomatique" ukazała się praca historyka Doyon'a o misji Descorches'a w Warszawie w 1791. Decorches, agent rewolucyjny zdawał sobie jasno sprawę, z położenia dążył do sojuszu Francji z Polską, której rozbiór przewidywał.

AD REM...

ZAWODOWCY BEZ ZAWODU

Zamęt stosunków, — dziedzictwo powojenne, — wytworzył i rozmnożył odrębny typ ludzki: zawodowców bez zawodu. Są to przeważnie wytwory gorączki organizacyjnej, gdy zachwiane w posadach przez wojnę życie społeczne szukać musiało choćby chwilowego wsparcia o byle kogo, byle miał silne nerwy, jaką taką wolę i zmysł orjentacyjny w zmiennych, jak kameleon, stosunkach okupacyjnych, pół-rewolucyjnych, ćwierć-komunistycznych itd.

Nurt życia normalnego, zwolna powracający w zasadnicze łożysko, zastał tych oryginalnych zawodowców zagospodarowanych na zamulonem dnie, które stało się dla nich żyzną deltą nilową podczas odpływu normalnych fal ludzkich na fronty bojowe, wygnanie, lub placówki walki politycznej. Powrót życia normalnego zagrażał karjerowiczom nienormalności zniszczeniem potopowem; — ufortyfikowali się też przeciwko niemu odrębnemi tamami, z których niejedna jest małem arcydziełem inżynierji sprytu. Tamy owe mają na celu odwrócić bieg życia, sprowadzić zalew osiedlisk na lądach nadbrzeżnych, ażeby na bajorach dna krzewić się mogły nadal obozowiska prowizoryczności wojennej, w których stoją załogą byli dygnitarze jednodniowych państewek awanturniczych, instytucyj bez jutra, ale zato o podejrzanem „wczoraj", banków o szumnych nazwach, mających jako kapitał obrotowy tylko obrotność założycieli, kopalń blagi, hut kruchszej od szkła, acz nieprzejrzystej ideowości, towarzystw akcyjnych, grających na zniżkę etyki społecznej, oraz bratnich pomocy do walki bratobójczej.

Ci wykwalifikowani zawodowcy bez zawodu fabrykują masowo bezrobotnych, odrywając całe rzesze ludzi od prawdziwych warsztatów pracy, obietnicami złudnych, lub krótkotrwałych zarobków. Zdemoralizowanym przez siebie ofiarom zapewniają swoją wielmożną opiekę, karmiąc ich nadziejami, lub niekiedy nawet wyszachrowanym ochłapem z własnych łupów.

Wypierani powoli, ale stale, nieubłaganą logiką z życia realnego, chętnie gromadzą się ławą w dziedzinach artystycznych. Maskarada talentów przez tandetną podróbkę wydaje się im łatwiejsza, na stałe, niż maskarada trudu powszedniego. Wartko więc biorą się do podkopywania każdej reduty istotnego artyzmu, każdą podmywać umieją mętnemi kompilacjami cudzych teoryj ze wschodnim czy zachodnim stemplem. Słone od łez haracze płacić muszą nierzadko nawet fachowcy sztuki za certyfikat prawa do pracy swoim próżniaczym opiekunom, — zawodowcom bez zawodu. — „Cóżbyś ty, synu mój globowy, bez mej pomocnej robił ręki?" — szepce bez przerwy otumanionym Faustom sprytny Mefisto, parodjując Goethego z kabaretowym cynizmem... Mądrala-półdjablę, nie jest zdolne zresztą kuglarstwem swojej magji odwrócić, ani nawet opóźnić, katastrofy żadnego mirażu, który lada sprzymierzony z nim moralnie wydrwigrosz skolonizował entuzjastami, lub straceńcami, pod hasłem: „a nuż się uda!". Ofiarom mówi się wtedy: „bez nas byłoby jeszcze gorzej!". Wykręt dogodny, bo trudny do sprawdzenia.

Któż się nie otarł o te żywe rafy, zamaskowane nieraz zmistyfikowanemi szyldami powag, aby tem zuchwalej rozbijać nurt normalnego życia, każdą bezkompromisową inicjatywę i każdy trud celowy we wszelkich dziedzinach.

Działalność taka obniża przedewszystkiem powagę zrzeszeń, niezbędnych w nowoczesnym ustroju demokratycznym i czyni przez to szkody niezmierne podstawom zdrowego życia społecznego. Zgubnych objawów jest, niestety, tak wiele, że trzeba będzie poświęcić im osobną rubrykę karcącą.

TADEUSZ ROZWORA

TEATR

SARDOU REDIVIVUS

TEATR Polski p. A. Szyfmana wznowił słynną komedję Wiktoryna Sardou „Madame Sans-Gene" z p. Przybyłko-Potocką w roli tytułowej i w dekoracjach p. Frycza. Szkoda że pozostawiono stary przekład K. Erenberga, niezbyt zgrabnie oddający literacką misterność francuskiego pisarza. Publiczność przyjęła sztukę z wdzięcznością jakby ją potraktowano winem z przed wojny, tak znużona jest małego oddechu, kwaskowatą twórczością powojenną. Pani Przybyłko-Potocka i Stanisławski (w roli Napoleona) byli bez zarzutu, owszem Lefebrowa p. Potockiej była lepsza od poprzednich w Warszawie kreacji tej postaci. Wszystkie plany obsadzone były dobrze, artyści rozprostowali swe talenty i grali doskonale. Dekoracje piękne.

SZTUKI PLASTYCZNE

PRÓBA PRZEMYTNICTWA

PAN Stanisław (?) Higier zamieścił w ostatnim numerze „Wiadomości Literackich" długi artykuł, ostro krytykujący wystawę „Kompozycyj figuralnych" w Zachęcie, zwłaszcza zaś największe rozmiarami obrazy tej wystawy: „Dzień Zaduszny na Wawelu" Wodzinowskiego i „Królowę" Laszenki. Krytyka słuszna, szkoda tylko że tak niezgrabną pisana polszczyzną i że wogóle tyle miejsca poświęcono obrazom, które — z artystycznego punktu widzenia — wcale właściwie na uwagę nie zasługują.

Ale p. Higier zbyt rasowy jest w swym sposobie myślenia i odczuwania, aby o sztuce mógł pisać bezinteresownie, bez ubocznych celów. Korzysta też z wszelkiej możliwej sposobności, aby zareklamować swych pozbawionych talentu współplemieńców, dać im tytuły i rangi, na które bynajmniej nie zasłużyli. Narzekając więc słusznie, że na wystawie brak było dzieł Mehoffera, Wyczółkowskiego, Jarockiego, Sichulskiego, jednym tchem dodaje bez zająknienia nazwiska... Kramsztyka, Zaka... Przypuszczał, że „w tłoku ujdzie", że pod pokrywką nazwisk wielkich artystów uda się przemycić ludzi bliższych sobie rasą i poziomem kultury.

A tymczasem — nie ujdzie. Jest faktem istotnie godnym największego ubolewania, że na wystawie w Zachęcie zabrakło dzieł Wyczółkowskiego i Mehoffera. Na to zgoda. Ale dobrze, bardzo dobrze się stało, że do miernot i bohomazów nie dodano jeszcze słabych i w rysunku i kolorycie płócien Kramsztyka tudzież bezdusznych, naśladowczych, mózgowych czysto wypracowań Zaka. I tak dość było Wodzinowskich, Bagieńskich, Kraśników...

Zaś „Wiadomości Literackie", reklamując „swoich", mogłyby wreszcie zdobyć się na większy umiar i objektywizm. Dlaczegoż my, Polacy, potrafimy jednak ustosunkować się w sposób właściwy do naszych Laszenków i Korpalów?

NAGRODY

JAK doniosły dzienniki, sąd konkursowy, złożony z delegatów komitetu Zachęty i przedstawicieli artystów wystawców dyplomy honorowe (za całokształt prac kompozycyjnych i wystawione dzieła) przyznał Jackowi Malczewskiemu i Wojciechowi Kossakowi. Dwie nagrody Magistratu m. Warszawy po 500 zł. przyznano: M. Borucińskiemu za obraz p. t. „Walka" i J. Kotowskiemu za obraz p. t. „Przed Plebanją". Dwie nagrody Tow. Zachęty S. P. otrzymali: Z. Jasiński za obraz p. t. „Święto Matki Boskiej Zielnej" i St. Zawadzki za obraz p. t. „Stańczyk w 1915 r.".

Pominąwszy kwestję dyplomów honorowych (chociaż trudno zgodzić się na postawienie w jednym szeregu malarzy tak różnej bądź co bądź miary, jak Malczewski i Wojciech Kossak) stwierdzić trzeba, iż nagrody Magistratu rozdzielone zostały w sposób zupełnie właściwy. Boruciński i Kotowski istotnie wyróżniają się pod każdym względem dodatnio z niezbyt naogół bogatego plonu wystawy p. n. „Kompozycja figuralna". Ale nagrody Tow. Zachęty muszą wywołać zdumienie, zwłaszcza nagroda, przyznana „Świętu Matki Boskiej Zielnej" Jasińskiego. W swoim czasie ckliwe obrazki tego rodzaju poszukiwane były do reprodukowania na pudełkach od czekoladek i cukierków. Dziś jednak, gdy na zamówienie firmy Fruzińskiego p. Stryjeńska wykonała istotnie piękne projekty opakowania czekolady — nawet w tej dziedzinie p. Jasiński nie może już wytrzymać konkurencji. Pocóż więc ta nagroda, zachęta do wystawiania dzieł słabych, bezwartościowych?

Obraz p. Jasińskiego został zakupiony do zbiorów Tow. Zachęty, celem umieszczenia go na t. zw. wystawie stałej. Miejmy nadzieję, że czynniki kierownicze Zachęty nie będą jednak wobec p. Jasińskiego tak okrutne, aby obraz zawieszać w sąsiedztwie dzieł Matejki, Wyspiańskiego, Gierymskich... Może przynajmniej przeniosą go do innej sali.

KL.

MUZYKA

ZJAZD STOWARZYSZEŃ ŚPIEWACZYCH

Zwołany do Warszawy na 17 bm. zjazd delegatów Stowarzyszeń śpiewaczych i muzycznych z całej Polski postanowił dokonać ogólnego zjednoczenia istniejących w tym zakresie polskich związków. Statut tego Zjednoczenia był już przygotowany i przez władze już w maju rb. zarejestrowany. Założycielami tego zrzeszenia są związki: Wielkopolski, Małopolski, Mazowiecki, Poznański, Śląski, Kielecki. Do Komitetu organizacyjnego, jako inicjatorzy, należeli: Piotr Maszyński, Zygm. Kaczyński i dr. J. Niezgoda. Zadaniem Zjednoczonych polskich Związków Śpiewaczych i muzycznych jest „zespolenie tych związków, w celu skutecznego krzewienia wśród jaknajszerszych kół zamiłowania do muzyki wokalnej i instrumentalnej, zwłaszcza narodowej, jako jednego z najistotniejszych wyrazów ducha polskiego". Jest to bardzo ładna inicjatywa. Należy jej życzyć powodzenia i popierać gorąco. Kulturę muzyczną w Polsce trzeba poprzeć na popularnem kształceniu w chórach i orkiestrach. Inaczej nie dojdziemy do tego, żeby w Polsce rozgorzały ogniska samodzielnej twórczości muzycznej.

U SŁOWIAN

FRANCISZEK KWAPIL

W dwa miesiące po zgonie żony, Bożeny Kwapilowej, zmarł sędziwy poeta czeski Franciszek Kwapil. Śmierć jego okrywa żałobą literaturę czeską i niemal w równej mierze—polską. Był on bowiem wielbicielem poezji polskiej i gorliwym jej tłómaczem. Urodzony w r. 1855 po ukończeniu uniwersytetu wyjechał do Paryża na studja romanistyczne. Tam zapoznał się z językiem polskim i z polską literaturą. Tę sobie obrał za specjalność. W r. 1895, jako 20-letni młodzieniec przekładał Krasińskiego. Wybór jego dzieł w 2-ch tomach ogłosił w r. 1880. Potem przełożył całą Nieboską Komedję i Irydjona. Tłómaczył Mickiewicza, Słowackiego, Asnyka (2 t.), K. Tetmajera (2 t.), Kasprowicza. Akademja czeska po wojnie przystąpiła do wydania autologji poezji polskiej w przekładzie Kwapila. Wyszły dotąd dwa tomy. Sławę zapewniły Kwapilowi przekłady. Wydał też kilka tomów własnych poezyj. Pisywał też studja literackie przeważnie o poezji polskiej. Na grobie Franciszka Kwapila kwitnąć będzie po wieki kwiat wdzięczności polskiej.

WOJCIECH HYNAIS

Przed miesiącem zmarł w Pradze najznakomitszy z czeskich malarzy dawnej szkoły, Wojciecha Hynais, profesor i wielokrotny rektor praskiej Akademji Sztuk pięknych. Ur. w r. 1854, po odbyciu studjów w Akademji wiedeńskiej pod kierunkiem prof. Feuerbacha kształcił się dalej we Włoszech i w Paryżu. Po powrocie do ojczyzny zdobył sobie on odrazu pierwszorzędne stanowisko w czeskim świecie artystycznym przez namalowanie wspaniałej kurtyny do odbudowywanego po pożarze r. 1883 Teatru Narodowego (Národné Divadlo). Jako dekorator kierował Hynais również pracami przy ozdobieniu wiedeńskiego Burgtheatru oraz kopuły Panteonu Muzeum

Narodowego w Pradze. Na Wystawie Paryskiej otrzymał zmarły za prace dekoracyjne medal złoty i Krzyż Legji Honorowej.

Z pomiędzy prac zmarłego artysty z zakresu niedekoracyjnego, wymienić należy „Sąd Parysa“, „Prawdę“ (przepiękne alegoryczne ujęcie) i portrety wielu praskich a także paryskich osobistości.

Również jako znakomity profesor malarstwa w Praskiej Akademji położył Hynais duże zasługi w rozwoju metodyki nauki tego przedmiotu.

H. B.

*

W bieżącym roku akademickim ogłoszono na uniwersytetach czesko-słowackich następujące wykłady polonistyczne: na Uniwersytecie Karolowskim w Pradze prof. Bidlo: Historja państwa polsko-litewskiego; prof. Frinta: Systematyczna fonetyka dzwięków polskich; prof. Szyjkowski: Zygmunt Krasiński; lektura i interpretacja wybranych utworów dramatycznych 19. wieku; prof. Zelenka: Praktyczne ćwiczenia polskie. Na uniwersytecie niemieckim w Pradze prof. Spina wykładać będzie „Pana Tadeusza“ Mickiewicza. Na Uniwersytecie Masaryka w Bernie wykładać będzie: prof. Horaki: Historję literatur słowiańskich. — O Henryku Sienkiewiczu. — O słowiańskiej powieści historycznej. — Prof. Kolaja: Kurs języka polskiego.

*

„Slovenski Prohled“, wyd. A. Cerny w Pradze (Vorechovka 461), rocznik XVII, jako „wydawnictwo zaznajamiające z polityką, gospodarstwem, społecznem i kulturalnem życiem państw i narodów słowiańskich“. Nr 122 przynosi pracę min. E. Benesza o problemach polityki słowiańskiej, dalej m. in prof. M. Szyjkowskiego o St. Żeromskim, oraz studjum A. Hajna o mniejszościach i ochronie ich praw.

NOWE KSIĄŻKI

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała:

Ks. Galanta „Córka boleści“ (życiorys Gemmy Galgani).— „Dzieje duszy, czyli żywot św. Teresy“. Tłum. z franc.—Ks. R. Archutowskiego „Krótki zarys historji Kościoła Katol.“ (Podręcznik z ilustr.). — Ks. W. Kalinowskiego. „Nauka Boża“ Cz. I.— „Nauka religji rz. kat.“, dla szkoły powszechnej. A. Krantz. Zbiór zadań rachunkowych, cz. V.—Harcerski kodeks honorowy.

K. J. Nittman. „Za świętą sprawę“, opowieść z 1830 r. Warsz. 1925. Księg. Polska Macierzy Szkolnej.

A. Ossendowski. „Orlica“. Powieść. Bibl. dzieł wybor.

Jerzy Sosnkowski. „Auto, ty i ja“. Powieść. Tamże.

Józef Targowski. „Biali i kolorowi, I. Polityka kolonjalna. Monografja Algerji“ Warsz. 1925, M. Arct, str. 120 i mapa.

Juljan Gawroński. „Szkoła odrodzenia. Program nowego wychowania i nowej szkoły w Polsce współcz“. Poznań 1925. Fischer i Majewski. Str. 40.

Stefan Karniewiecki. „O wytwarzaniu i podziale potraw“. Studjum ekonomiczne. Warsz. 1924. Dom Ks. Pol.

Antoni Kiciński inż. „Rządy Sowietów w Rosji“. Warsz. 1925. Dom Ks. Pol. Str. 104.

Nakładem Z. Pomarańskiego w Zamościu wyszły:

Marjan Dąbrowski. „Różaniec życia i śmierci“. Opowiadanie—na 10-lecie czynu legjonowego.

A. Bennet. „Miłość uświęcona i miłość wolna“. Powieść.

J. Papini. „Od człowieka do Boga“. Studja o pragmatyzmie, polemiki religijne.

Michalina Domańska. „Małżeństwo Zygmunta Kietlicza“. Powieść.

Cecylja Marion. „Zośka“. Powieść.

Józef Wittlin. „Wojna, pokój i dusza poety“. Szkice literackie.

Antoni Wysocki. „Zabawy mędrców“. Powieść.

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły:

Janusz Makarczyk. „Przez Palestynę i Syrję“. Szkice z podróży.

Stanisław Szpotański. „Skradziony rękopis“. Powieść.

Stan. Piołun-Noyszewski. „Baronowa Inborn“. Powieść.

Zygmunt Bartkiewicz. „Polityka w lesie“. Zbiór nowel.

Wł. Natanson i K. Zakrzewski. „Nauka fizyki“ T.-III z. 2.

Nakładem Książnicy — Atlas wyszły:

Antoni Słonimski. „Pod zwrotnikami“. Dziennik Okrętowy.

Hajota. „Z dalekich lądów“. Nowele i opowiadania.

Jan Łada (X. Gnatowski). „W zaklętym Zamczysku“. Powieść z lat dawnych. 2 tomy.

Z. Reutt-Witkowska. „Pielgrzym. Legenda Ossjaku“.

Wład. Orkan. „Listy ze wsi“ I.

Tad. Joteyko. „Nowy podręcznik do nauki muzyki“ Zesz. IV.

J. Jakóbiec. „Das Deutschtum“ (Podręcznik dla szkół polskich). Cz. I.

„Podręczna encyklopedja pedagogiczna“ w opracowaniu F. Kierskiego. Tom II N — Z. Str. 303—6 1 i 64.

Bernard Chrzanowski. „Z Ojczyzny“ (Gawędy harcerskie).

Wł. Michalski. „Przyroda martwa“. Podręcz. Zesz. II.

Czesław Nanke. „Historja nowożytna“. Podr. Cz. II. Z. 1.

Helena Grotowska. „O poznawaniu kraju“. Str. 204.

Antoni Danysz prof. „O wychowaniu“. Wyd. II. Str. 337.

Ks. Stan. Janicki. „Polski Kościół i dom św. Stanisława w Rzymie“ (z ilustr.). Rzym 1925, Szkoła typogr. Piusa X. Str. 63.

Roman Dmowski. „Anglja powojenna i jej polityka“. Uwagi ogólne. Warsz. 1925. Księgarnia Perzyński, Niklewicz i Sp. Str. 107.

Jan Cynarski. „Łotwa współczesna.“ Z 2 map. i 18 ilustr. Warsz. 1925. Społ. biuro wydawn. Str. 160.

„Doświadczenia i błędy naszej polityki zagranicznej“. Warsz. 1926. Tamże. Str. 168.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Na dzień 2 listopada 1925 roku wyznaczona została uroczystość złożenia zwłok Nieznanego Żołnierza Polskiego do grobu pod arkadami Sztabu Generalnego w Warszawie. W chwili składania do grobu ciała Nieznanego Żołnierza w całej Rzeczypospolitej zapanuje przez minutę milczenie, wyraz hołdu i wdzięcznej pamięci całego Narodu.

Dyskusja nad exposé premjera Wł. Grabskiego zakończona została odrzuceniem przez Sejm wszystkich wniosków, zmierzających do wyrażenia votum nieufności rządowi. Za odrzuceniem tych wniosków głosowały: Zw. Lud. Nar., Str. Chrz. dem., Str. Chrz. nar., N. P. R. i P. P. S.

Projekty rządowe trzech ustaw sanacyjnych odesłał Sejm w pierwszem czytaniu do komisyj: skarbowej i budżetowej.

W Krakowie odbył się zjazd izb handlowych Rzeczypospolitej.

W Warszawie odbył się IV walny zjazd inspektorów szkolnych.

SPRAWY ZAGRANICZNE

Rząd francuski podał się do dymisji. Przyczyną kryzysu są nieporozumienia między stronictwami radykałów społecznych i socjalistów na tle programu skarbowego min. Caillaux.

Trzej ministrowie niemiecko-narodowi, należący dotychczas do gabinetu dr. Lutera, podali się do dymisji na znak protestu przeciwko zbyt wielkim, ich zdaniem, ustępstwom ze strony Niemiec podczas rokowań w Lokarno,

Zatarg graniczny grecko-bułgarski grozi poważnem zaburzeniem pokoju na półwyspie bałkańskim. Wojska greckie obsadziły kilka miejscowości pogranicznych na terytorjum bułgarskiem.

Trzecia rocznica pochodu faszystów na Rzym obchodzona była uroczyście w całych Włoszech. Premier Mussolini ogłosił odezwę do narodu, stwierdzającą zwycięstwo faszyzmu i upadek jego wrogów.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Fr. S. Nadesłane próbki nie mają żadnego związku ze sztuką. W dziedzinie np. gry fortepjanowej odczułby Pan napewno różnicę między grą swojej kuzynki a grą Paderewskiego. Czem wytłumaczyć ten zupełny brak kultury literackiej, że wierszyki kuzynek, bawiących się rymem, uważane za godne druku obok Kasprowicza? Dajcież pokój sobie i redakcjom z pisaniem poezyj i powieści, należy z respektem sztukę traktować.

Panu z nieczytelnym podpisem. Skąd Panu niezdarnie piszącemu wzięła się ta śmiałość dawania lekcji pisania literatom wytrawnym? Za daleko zaszliśmy w demokratycznej poufałości. Niech pan zajrzy do gramatyki, a przekona się Pan, że jest to wyrażenie poprawne, oparte na starym fakcie językowym.

Panu D. Kor. Pieniądze 16 zł. za półrocze przekazaliśmy administracji w al. Jerozolimskiej 17. Na przyszłość tam prosimy prenumeratę kierować. Za życzenia i wyrazy uznania pięknie dziękujemy.

Pani M. Kos. w W. Skoro Pani zależy na komplecie, kazaliśmy wysłać odrazu pierwsze zeszyty, wkrótce bowiem będą wyczerpane. Dalsze będziemy wysyłać stale. Należność uiści Pani w miarę możności.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al, Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.150.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.